HOSPODAR BAZYLI.

Pod koniec 1645 roku, na zamku w Jassach odprawiono weselne gody Marji pierworodnéj córki hospodara, z Januszem Radziwiłłem możnym na Birżach i Dubinkach krotnie z historją naszą związane bywały. Władcą którego córkę pojął za żonę Radziwiłł, był grek Bazyli Lupulli wyniesiony na tron przez turków. Podajemy tu wizerunek



Bazyli Lupulli, według ryciny Wilhelma Hondiusa rysował Tegazzo.

panem, owdowiałym po Katarzynie Potockiéj córce Bracławskiego wojewody Stefana. Polska i Turcja wywierały kolejno przeważny wpływ na Multany i Wołoszczyznę, to też losy obu tych krain niejednojego, aby zaznajomić czytelników naszych z bogatym i niezwyczajnym strojem hospodarów. Bazyli starał się przedewszystkiém o przyjaźń Turcji, nieobojętnym był mu jednakże stosunek z polakami. Cieszył się

zięciem wyniesionym wysoko w rzeczypospolitéj. Ojciec Janusza Krzysztof wojewoda wileński, był litewskim wielkim hetmanem, którę to godność syn późniéj po nim odziedziczył, matka z Kiszków zamożnego domu, zapewniała mu również licznych i przeważnych pomiędzy krewnemi stronników. Niepoprzestał jednakże na tych warunkach wyniesienia mąż pysznego serca i dumą swą smutnie zapełnił kartę dziejów, w któréj stoi na wieczne czasy że zapragnął się wywyższyć kosztem całego narodu. Zaślubiając mołdawiankę książe miał niezawodnie na względzie bogate jéj wiano. Jak to widzimy z załączonego tu wizerunku Marja nie była piękną, lecz przybrana w godowe szaty uosobiała skarby ojca. Wszystko na niéj było od złota i drogich kamieni. Czapka na głowie aksamitna naszywana djamentami zdobna w bogate kity, kolce również djamentowe spadające z obu stron twarzy niby gałązki świetnego kwiatu, na szyi frendzla ze wschodnich pereł najczystszego blasku ujętych w opaskę złotą spiętą drogim kanakiem, słowem wszędzie klejnoty migotały niby na obrazie cudownym obwieszonym w wota pobożnych. O ile niebo poskąpiło urody starszéj córce hospodara, o tyle hojnie obdarzyło młodszą. Rozanda czyli *Dumna*, jak ją zowią niektórzy kronikarze, odznaczała się urodą wśród najpiękniejszych dziewic grona, jak ognisty karbunkuł w otoczeniu innych kosztownych kamieni. Znane są powszechnie smutne dzieje jéj miłości dla Dymitra Wiśniowieckiego. Jakkolwiek kroniki wiele mówią o okrucieństwie i chytrości Lupullego, niebyłby on jednakże sprzeciwiał się szczęściu córki, gdyby nie był zmuszony dla ocalenia siebie i państwa swego, oddać jéj ręki Tymofejowi Chmielnickiemu, synowi słynnego Bohdana. Bohdan Chmielnicki nieszczędził trudów aby dostać hospodarównę za synowę, w nadziei że tém łatwiéj skłoni potém ojca jéj, aby mu dopomógł zagarnąć państwo Raduły wołoskiego władcy. Chciwy grek zgodził się chętnie na to w nadziei że sam coś jeszcze zyska, zaledwie jednakże rozmyślać począł jakby nakłonić do wyprawy na sąsiada niechętnych multańczyków, wpadł sam w matnię którą temuż gotował. Raduła uprzedzony o knowaniu przeciw sobie, porozumiawszy się ze Stefanem kanclerzem Bazylego i Rakoczym księciem siedmiogrodzkim, nagle z wojskiem do Jass wkroczył. Tymofej pośpieszył na pomoc teściowi, z początku świetne odniósł zwycięztwo, lecz późniéj pobity naradziwszy się wraz z ojcem, wysłał posła do Jana Kazimierza błagając o pomoc polaków. Jednocześnie zgłosił się tamże z tąż samą prośbą Rakoczy, a król polski chętnie skłonił się ku niemu niechcąc już zobowiązywać sobie Bohdana Chmielnickiego, który niejednokrotnie zawiódł położone w nim zaufanie. „Rozwinęła się tedy na dobre wojna (mówi Andrzéj Moraczewski) Tymoszko z Lupullim trzem przymierzeńcom podołać niemogli i skończyło się na tém że na Ukrainę uciekli. Osadził Lupulli żonę i dzieci w Kamieńcu podolskim, bo jako szlachcicowi polskiemu w moc otrzymanego dawniéj indygenatu, winna była Polska dać przytułek, a nadto szukał pomocy u króla, ale jako zaprzyjaźniony z Chmielnickiemi już był z łaski jego wypadł. Stefan kanclerz czyli logofet, zyskał zatwierdzenie u turków na hospodarstwo. Polsce potrzeba było pokoju z Turcją, wolała więc Stefanowi aniżeli Lupullemu przychylność okazywać. Lupulli cofnął spiesznie z Kamieńca żonę z dziećmi i skarbami do Multan Gdy zaś Stefan zażądał posiłków, a prośbę jego poparł jeszcze pasza Sylistrji, panowie polscy zgodzili się chętnie na przymierze między Janem Kazimierzem, Jerzym Rakoczym, Stefanem i Radułą.” Obsiadłszy już na dobre na hospodarstwie multańskiém, Stefan przeciwnika swego Bazylego, zwyczajem często napotykanym w historji Multan i Wołoszczyzny, okutego w kajdany odesłał do Konstantynopola, gdzie tenże prawdopodobnie życie zakończył. Hospodarówna Marja, wydana za Radziwiłła zmarła bezpotomnie w roku 1661, w kilka lat po śmierci męża, który umarł oblężony w Tykocinie przez Pawła Sapiehę, dopuściwszy się pierwéj zdrady wydając Litwę bez oporu w ręce szwedów.

A. z Ch. Borkowska.

WIEDEŃ NA POCZĄTKU BIEŻĄCEGO STULECIA.

(Dalszy ciąg.)

W chwili gdy zdołano zwrócić konie, księżna Oldenburgska spostrzega opodal jakiś punkt czerniejący na błyszczącym śnieżnym kobiercu. Zdjęta ciekawością, a bardziéj jakiémś nadzwyczajném przeczuciem, prosi króla aby konie zatrzymał i posłał masztalerza zobaczyć coby to zjawisko znaczyło. Zadziwił się bardzo wysłaniec, gdy zobaczył kobietę młodą jeszcze, na wpół obnażoną na śniegu, niedającą żadnego znaku życia. Przerażony tym widokiem wrócił aby opowiedzieć księżnie co widział. Pani ta znana z dobroczynności wyskoczyła z sanek i wkrótce znalazła się przy nieszczęśliwéj zmarzłéj. Okryła ją futrem swojém i rozcierać poczęła; kilka kropel annodyn które wlała w końcu w jéj usta przywróciły przytomność nieszczęśliwéj. Wzięta na sanki i jako tako na nich umieszczona, do Laxenburga zawiezioną została. Proszę sobie wystawić zdumienie świetnego towarzystwa, które tam wyprzedziło króla i księżnę, gdy ich ujrzało powracających z nową towarzyszką. Wybiegli na przeciw przybyłych, a jeden z obecnych monarchów podał rękę księżnie przy wysiadaniu z sanek i pomógł służbie wnieść biedną kobietę do ogrzanego pokoju; ciepło i natychmiastowe użycie środków lekarskich uzdrowiło ją wkrótce. Była to nieszczęśliwa wdowa, któréj mąż wyrobnik w jednym z browarów zamiejskich wpadł przypadkowo w kadź gorącém napełnioną piwem i tym sposobem życia pozbawiony, pozostawił ją bez funduszu z czworgiem drobnych dziatek. Biedna matka chcąc ich jako tako wyżywić pierała bieliznę w mieście, a wracając do swojego mieszkania które opodal wynajmować musiała, źle okryta, niezwykłym w Wiedniu mroźném powietrzem ogarnięta, prawie martwa padła na śniegu. Wypadek ten, jak się domyśleć można, stał się dla niéj szczęśliwym, wysoka jéj dobrodziejka zebrawszy bardzo znaczną składkę, poleciła kupić jéj pralnię, która się długo w Wiedniu utrzymywała pod nazwą *pralni księżnéj*. W dalszém zwiedzaniu wozowni cesarskiéj oglądaliśmy także karetę Napoleona, którą Marja Ludwika podróż swą w powrocie do ojczyzny odbyła, po zbyt krótkiém królowaniu na jednym z najpiękniejszych Europy tronów. Przykro było patrzeć na te szczątki dawnéj wielkości zczerniałe, zrudziałe, spłowiałe, które w swym upadku przedstawiały obraz zmian i niestałości ludzkich kolei. Jesteśmy poniekąd z takiemi widokami oswojeni i stokroć boleśniejszy jest obraz przedstawiający nam słabą i niedołężną istoty naszéj stronę. Widzieliśmy jak przed laty kilku, zawistne losy uprowadzały w téj karecie owego króla rzymskiego którego kolebkę okryła purpura a przedwczesny zgon znalazł sierotą na wygnaniu. Widzieliśmy dziecko uchodzące z ojczyzny obok matki, która w sercu i duszy tego nawet zasobu miłości i poświęcenia dla syna nieznalazła, aby na wzór babki swojéj, praw jego z odwagą i energją broniła.

Cały charakter i układ Marji Ludwiki można doskonałém francuzkiém wyrażeniem *inepte* streścić. Nie było tam ani woli, ani czucia, ale biała i rumiana twarzyczka wiecznym błyszcząca uśmiechem, któréj wyraz uczucia nigdy niezdobił, łza czysta nigdy niezrosiła!.... W powrocie do Wiednia, ciągle starannie oddalano widoki mogące przypomnieć cesarzowéj francuzką ziemię, natomiast oczom jéj przedstawiano wspomnienia lat dziecinnych. O ile mi się zdaję dyplomatyka ta była zbyteczną. Nie znajdowała się w téj duszy żadna na wspomnienia kryjówka; ten tylko pamięta kto czuje i myśli. Marja Ludwika wysiadłszy w Schönbrunn wyglądała jak róża, najmniejszego znaku smutku na jéj twarzy dostrzedz niemożna było; po przybyciu zwiedziła dawny swój pokój, nie tak jak się zwiedza miejsce urodzenia z sercem przepełnioném i łzą w oku, lecz z dziecinném ukontentowaniem że dawne swe cacka w należytym znalazła porządku. Gdy wysiadłszy z karety powitała braci i siostry, obróciwszy się do guwernantki syna z rozczuleniem wpa-

trującéj się w tę scenę, własną jéj przypominającą rodzinę, wyrzekła do niéj obojętnie słowa które codziennie o téj porze powtarzała w Tuilleries: *madame de Montesquiou pourquoi est ce que Vous ne faites pas prendre l'air à mon fils?* I taką to kobietę Napoleon wyżéj cenił nad pełną serdeczności tyle niezasłużenie przez siebie odepchniętą Józefinę! Dziwna to była miłość jego do Marji Ludwiki, jeżeli kiedy to tu można powiedzieć: że miłość kocha się w kontrastach. Nazajutrz po przybyciu Marji Ludwiki do Schönbrun był dany obiad famílijny a następnie wieczór tańcujący dla młodych arcyksiążąt i arcyksiężniczek, w którym była cesarzowa wzięła jak najczynniejszy udział. Wypadnie tu powiedzieć nawzajem że wojna, jéj pożogi i nieszczęścia, niewstrzymywały bynajmniéj w Wiedniu dworskich zabaw i festynów. Ciotka moja Parysowa o któréj już wspominałam w tych pamiętnikach, a która wielką część życia swojego w tém mieście przemieszkała, opowiadała, że w czasie największych klęsk jakie na początku bieżącego stulecia spotykały monarchję austrjacką, uczty i bale dworskie, których datę i porządek etykieta oznacza, szły swoim zwyczajnym trybem. W wigilją wyjazdu cesarstwa do Ołomuńca r. 1809. usuwających się przed wojskami francuzkiemi, był koncert u dworu, co większa, spieszono na miejsce co koń wyskoczył, aby stanąć w Ołomuńcu w przeddzień imienin cesarzowéj, gdzie jakby w czasie błogiego pokoju i wśród stolicy miała być dana maskarada. Kto zna ducha nieubłaganéj etykiety dworu austrjackiego pojmie od razu, że ta pochopność do zabaw, w czasie tak krytycznym dla monarchji, niepochodziła wcale z ducha chcącego jak to mówią zamydlić oczy, okazując że rzeczy nie tak źle stoją kiedy się dwór bawi, ale jedynie przez uszanowanie dla tradycjonalnych dworskich zwyczajów.

W jednym kącie cesarskiéj wozowni widzieliśmy statuę Franciszka IIgo wykonaną z gipsu na model przez słynnego Torwaldsena; piękne to dzieło sztuki, barbarzyńsko zapomniane tam było, nikt nie pomyślał nawet aby mu dać jakieś odpowiednie przeznaczenie. Przyczyna téj niepojętéj obojętności dla sztuki, była następująca: Publiczność wiedeńska kilkakrotnie objawiła chęć posiadania wśród murów miasta, statuę ulubionego sobie cesarza; starano się temu żądaniu zadosyć uczynić i zamówiono u Torwaldsena posąg, za który ogromne summy ofiarowano. Artysta chcąc wyrazić spokojne usposobienie monarchy, wykonał go w postawie siedzącéj, ma róg obfitości znamienie pokoju w jednéj ręce, a w drugiéj księgę praw trzyma. Publiczność która życzyła sobie mieć cesarza stojącego, mocno nieukontentowana głośno szemrać poczęła, kazano miejscowemu artyście inną wyrobić statuę, a posąg o którym mówimy, lubo najpiękniejszego był dłuta pozostał zapomniany w wozowni, gdzie go w téj chwili za stosem starych powozów, kół, pudeł i rzemieni oglądano.

Wyszliśmy pragnąc w dniu tym zwiedzić jeszcze gabinet medalów i bibliotekę cesarską, ale że właśnie w obu miejscach wykonywano niektóre ulepszenia i konieczne reparacje, musieliśmy bytność naszą na inny czas odłożyć.

Z zamku cesarskiego, pojechaliśmy do Schönbrunn owéj słynnéj letniéj rezydencji monarchów Austrji, niezawodnie jednéj z najpiękniejszych w Europie. Wiele razy w życiu mojém byłam w Schönbrunn i wyznaję że mimo nieporównanych widoków miejsca, przeszłość jego najmocniéj wyobraźnię moję zajmowała. Dziwnaż bo to postać dziejowa, ta Marja-Teressa pierwsza téj rezydencji założycielka! Marja-Teressa miała wszystko, jenjusz, wielkość, sławę, niepospolity hart i potęgę woli, jednéj jéj tylko rzeczy niestało a raczéj jéj państwu które nie miało własnéj narodowości, i dla tego gdy przyszła chwila krytyczna i potrzeba było ocalić monarchję, wielka cesarzowa musiała oprzeć się na Węgrach aby grunt nie ustępował pod jéj stopami, gdyż w tym niefortunnym różnych plemion zlewku tworzącym całość jéj państw dziedzicznych, nie znalazła na żadnym punkcie silnéj i stanowczéj podpory.

Posiadała ona niepospolity dar schlebiania massom i obracania ich szczególnych i wyłącznych dążeń na swoją korzyść. Znała charakter rycerski, poświęcający się, trochę awanturniczy Węgrów, użyła go na swoję korzyść oddając im w obronę swojej

dynastji i dziedzicznych państw losy. Podchlebiła szlachcie i mieszczaństwu w Czechach, uszczuplając nieco w tym kraju feudalność, która jéj także w planach podbojów stała na zawadzie. Medjolan, stolicę Lombardji zbogacała różnemi filantropijnemi i przemysłowemi zakładami. Opowiadają o niéj anegdotę która doskonale tę dążność schlebiającą massom charakteryzuje. Cesarzowa od chwili owdowienia,



Marja hospodarówna Multańska, żona Janusza Radziwiłła, z portretu będącego w dziele Wobego rys: Tegazzo.

żyła prawie w samotności, rzadko ukazywała się publicznie, w teatrze wcale nie bywała. Gdy się jéj pierwszy wnuk urodził (późniéjszy cesarz Franciszek II) ucieszona z tego tyle upragnionego przybytku w rodzinie, pobiegła do nadwornego teatru korytarzami i krużgankami z zamkiem połączonego, kazała spuścić kortynę, a ukazawszy się w loży cesarskiéj od wielu lat pustéj, zawołała dość donośnym głosem: *Leopold ma chłopaka* (Leopold hat einen Buben). To gminne wyrażenie się, tak prostodusznych Wiedeńczyków ucieszyło, że cały teatr zatrząsł się uniesieniem powszechnéj radości, a krzyki i oklaski przeciągnęły się długo po wyjściu cesarzowéj z loży.

Powiedzieliśmy że Marja-Teressa założyła o pół mili prześliczną rezydencję która od wytryskującego w miejscu zródła żywéj wody *Schönbrunn* nazwana była. Wszystko tu tchnie jéj wspomnieniem. Pałac lubo nieregularnéj budowy ma wiele w sobie gustu i powabów architektury. W roku 1817 przejeżdżało się przez małą rzeczkę Wiedeńkę na któréj wzniesiono most szeroki eleganckiego stylu, zdobny w cztery marmurowe sfinxy. Wprost mostu jest krata wiodąca na obszerny dziedziniec kwadratowy, zamknięty krużgankami, zdobny w piękne posągi i dwa basseny z wodotryskami pięknéj roboty. Po obu stronach kraty, są dwa z różowego granitu wyrznięte obeliski dźwigające złocone orły. Ten dziedziniec jest co nazywa-

ją *cour d'honneur*. Schönbrunn jak już powiedziałam z nazwiska swojego niemieckiego znaczy *piękny wytrysk*, *belle fontaine*; kryształowy zdrój wody w dużym ukrywający się kłąbie parku, dał téj pięknéj rezydencji swoje nazwisko. Woda wytryska z małego wzgórka okrytego kwiatami. Najada niedbale leżąca trzyma w ręku róg przez który woda spada na marmurowy basen. Wnętrze pałacu jaśnieje przepychem ozdób architektonicznych. Sprzęty zalecają się więcéj gustem, oryginalnością i wykwintem jak bogactwem. Pokój sypialny cesarstwa był kiedyś pokojem miejsca tego założycielki. Napoleon który gdziekolwiek był, wszędzie instynktowo szukał pamiątek, w tym właśnie pokoju zamieszkał w czasie pamiętnego swojego w Schönbrunn w r. 1809 pobytu. Boazerje zdobiące ten pokój i przyległy mu gabinet są z chińskiéj porcelany. W każdéj niemal komnacie znajduje się portret założycielki tego miejsca. W gabinecie gdzie cesarz francuzów zwykł pracować z ministrami znajdował się jéj marmurowy posąg. „Gdyby ta monarchini żyła," rzekł Napoleon, „niebyłbym ja tutaj" i długo się we wspaniałe rysy posągu wpatrywał. Obok tego gabinetu znajduje się biblioteka podręczna cesarska, a w niéj stoi krzesło tak zwane *latające* (chaise volante) które według opowiadania naszego *Cicerone* miało należeć do Marji-Teressy i miało tę dogodność że się dowolnie i z największą łatwością z jednego piętra na drugie mogło przenosić. Tradycja niesie że Napoleon dnia jednego z rana, mając nagłą potrzebę wysłania rozkazu do pułku stojącego o cztery mile od Wiednia, pobiegł do drzwi które z wrodzoną sobie otworzył żywością; pierwszym przedmiotem jaki wtedy oczom jego ukazał się, był oficer służbowy (officier d'ordonnance) ubrany po formie który czekając rozkazów, najsmaczniéj zasypiał w krześle Marji-Teressy. Cesarz przystąpił do śpiącego i wziąwszy go za rękę przebudził. *Apprenez Monsieur*, rzekł piorunującym głosem do snem odurzonego i wylękłego młodego człowieka, *apprenez que quand j'étais comme vous sous-lieutenant*, *je n'aurai pas osé passer devant ce fauteuil sans ôter mon chapeau!*.... — *Sire!* wyjąknął oficer, *je suis au désespoir*...... — *Allez Monsieur et que je ne vous y reprenne plus.*

Park w Schönbrunn przyległy pałacowi, odznacza się prześlicznym rysunkiem i nader sztucznym i umiejętnym onego wykonaniem. Jest w nim wiele niespodziewanych widoków i scen efektowych a całość nieregularna, kapryśna, fantastyczna, i malownicza. Kanały i sadzawki doskonale utrzymane, użyzniają najpiękniejsze gazony i w pośród największych skwarów utrzymują chłód miły i tyle upragniony. Stare i rozłożyste drzewa exotyczne i najrzadsze kwiaty i rośliny przechowywane w bogatych oranżerjach i trephauzach. Ptaszarnia i menażerja pełne nieznanych prawie w Europie egzemplarzy zwierząt i ptaków, wszystko to czarujący i odurzający tworzy widok. W czasie mojéj pierwszéj w Wiedniu bytności, w roku 1817, stale Schönbrunn zamieszkiwał ów król rzymski nad którego kolebką wierna niegdyś ojcu jego fortuna kilka koron, a między temi najpiękniejszą jaka w świecie istnieć mogła w ręku swoim trzymała. W owym czasie samotny, odosobniony, zawsze smutny i tęskny wraz z nieliczną świtą pod skromnym księcia Reichstadt nazwiskiem, jedno skrzydło obszernego zamku zajmował. Gdyśmy pierwszy raz Schönbrunn zwiedzali, wiele tam mówiono o przywiązaniu dziadka cesarza Franciszka do sieroty, o zimnéj matki jego inném już uczuciem zaprzątniętéj obojętności, o szczeréj całéj cesarskiéj rodziny a mianowicie arcy-księcia Karola życzliwości. Młody sześcioletni książe mieszkał wówczas w przeciwnym pawilonie tego, który ojciec jego po zajęciu Wiednia przez wojska francuzkie zajmował i jak mówi kronika miejscowa, dopiero na pół roku przed śmiercią, na usilne jego prośby do pokojów ojca przenieść mu się pozwolono. Dziwneż to są koleje życia ludzkiego!... W tym zamku w którym wielki cesarz francuzów na najwyższym szczeblu rozgłosu sławy i władzy, trząsł sprawami świata i zaborcze swe na państwo Kościelne, Hiszpanję i Neapol dekreta podpisywał, jego potomek, jedyny chwały wielkości i potęgi spadkobierca, przeciągłém konaniem dni swoje marnie skończył.... Nie brakło mu na sercach kochających, bo jak mó-

wią cała rodzina cesarska najtkliwszą go otaczała troskliwością, ale młodzieniec czuł instynktowo że do innego był powołany stanowiska!.. W roku 1817 cesarz Franciszek szczególnie się wnukiem zajmował, jakby chciał mu wynagrodzić wyrządzoną przez siebie krzywdę. Często bardzo wyjeżdżał z nim na spacer, pokazywał mu miasto i jego okolice, a nawet do sklepów z nim zbaczał. Mówiono nam że jednego poranku kazawszy się cesarz zatrzymać przed znacznym magazynem zabawek dziecinnych i wszedłszy do niego, kazał młodemu księciu wybrać sobie kilka przedmiotów do upodobania. Dziecko najprzód rzuciło okiem na wszystkie strony, wszystko go przyciągało i radby był gdyby można cały magazyn jednym oka rzutem objąć. Następnie oglądał każde cacko z osobna nie mogąc się zdecydować które wybrać. To jego zaciekawienie i niedecyzja w wyborze niezmiernie dziadka bawiły, w końcu widząc że się zanosi na zbyt długą *lustrację cacek* cesarz powtórzył propozycję na którą dziecko odpowiedziało dość stanowczo: *je veux prendre tout, bon papa!* — *Tout, tout*, przerwał żartobliwie dziadek, *ah kleiner Bube, du bist so vie dein Vater, du möchtest alles besitzen wollen* i kupiwszy co tylko zabrać do powozu możliwie się dało, wrócili do letniéj swo jéj rezydencji. Co nas szczególnie zajmowało, to współczucie Wiedeńczyków dla młodego księcia; wiele o nim rozmawiali, dopytywali się o najmniejsze jego życia szczegóły, różne sobie o nim rozpowiadali anegdoty, a wszystkie na rachunek jego wesołości, rostropności i dowcipu. Tak to ten wyraz *sierota*, silném w sercu każdego człowieka tętni echem!... Wiedeńczycy najzupełniéj podzielali politykę swego monarchy, czuli że upadek ojca tak Austrję jak całe Niemcy od nader niebezpiecznego uwalnia wroga, ale wyjątkowe położenie syna, tkliwe w nich obudzało uczucie. Hrabia Dietrichstein dyrektor cesarskiéj biblioteki w Wiedniu był guwernerem księcia Reichstadt. Był to człowiek przyjemny i wysoko uczony. Jego wychowaniec nie mógł nic czytać, ani robić ani siedzieć bez jego pozwolenia. Książe Reichstadt nie był otoczony strażą, do nauki nie miał być skory. Będąc raz w dystrakcji gdy chciano go gwałtem czegoś nauczyć, rzekł „Cóżto myślicie, że mam głowę mojego ojca?” W roku 1817 przystęp do młodego księcia był bardzo utrudniony, było to właśnie po świeżym wypadku pokuszenia się bonapartystów o porwanie księcia w widokach politycznych. Cudzoziemców, głównie francuzów i polaków wcale do niego niepuszczano. Za wstawieniem się wszakże ziomka naszego Lanckorońskiego, w. podkomorzego dworu austrjackiego, wyznaczono nam godzinę jedenastą ranną. Jak się każdy domyśli nie chybiliśmy ani minuty w wyznaczonym czasie i o 55téj minucie na 11tą zajechaliśmy przed kratę pałacu, gdzie wówczas wolno było prywatnym zajeżdżać, nie dochodząc mostu. Mój ojciec miał bilet wejścia podpisany przez szambelana służbowego, którego nazwiska nie pamiętam; przeszliśmy wspaniały przedsionek, wielkie marmurowe schody, poczém przeszedłszy jeszcze wspaniałą sień zdobną w cztery statuy wyobrażające jenjusze pokoju, weszliśmy do wielkiego salonu gdzie nas przyjął szambelan służbowy księcia. Dość długo rozmawiał z mojemi rodzicami, do nas dzieci uśmiechnął się dorzuciwszy poważnie parę grzecznych wyrazów. Dość sztywno wyglądał w czarnym obcisłym fraku, białéj kamizelce, żabotach i białym atłasowym krawacie na którym na czerwonéj wstędze z białemi pręgami [1]) zawieszony był *en sautoir* order Leopolda. Sztywniéj jeszcze mówił z niemiecka po francuzku i chodził mierząc kroki, wyciągnięty jak stróna. Dziwnyż to był egzemplarz niemieckiego szambelana w roku 1817 a nawet już nierównie późniéj. Gdy chce być poważnym jest formalnie *nieruchomy*, gdy chce być grzecznym lub służbę czyni jest z natury swojéj i położenia ruchliwy, czynny, zaaferowany, szastający się do znudzenia, kłaniający do upadłego ustawicznie *sur le qui vive* wymagań etykiety i form przyjętych. Szambelani których my tu w Warszawie widujemy, są jakby francuz powiedział *pétris de la même pâte que tout le monde*, nie mają w osobie ani w ubiorze nic różniącego od innych ludzi

[1]) Podobnéj do wstęgi naszego orderu Śgo Stanisława. (Przyp. aut.)

wyjąwszy w czasie służbowym w którym osoby ich pozostają też same i tylko ubior kładzie stosowny do formy, a powierzchowność poważna i spokojna, pełna uszanowania stósuje się do charakteru ich urzędu. W Niemczech to wcale co innego, poznasz szambelana po ruchach, ukłonie, mowie, słowem po całéj jego powierzchowności. Tę różnicę głównie przypisać należy ścisłéj bardzo i drobiazgowéj etykiecie dworów niemieckich, które szczególniéj w Wiedniu i w Dreznie dworzan na model swoich ścisłych i nieugiętych form kształcą. Ale wróćmy do bytności naszéj w Schönbrunn w roku 1817. Nasz szambelan zamieniwszy z mojemi rodzicami kilka grzecznych wyrazów, wyszedł. W kwadrans wrócił znów i przybierając wyraz twarzy zastosowany do okoliczności oświadczył, *que son altesse impériale ne peut recevoir pour le moment à cause d'une legère indisposition, mais si vous voulez repasser à six heures du soir, peut-être pourra-t-elle vous voir etc.* Wyszliśmy z pałacu w dość kwaśnym humorze, w pośród szpaleru sług dworskich i oficerów służbowych, którzy nam się z pod oka z minami podejrzliwemi przyglądali. Była już może dwunasta, do Wiednia wracać nie było warto, ojciec powóz odesłał do naszego hotelu do miasta, sam zaś z nami czekać szóstéj godziny postanowił; puściliśmy się więc w głąb dobrze już nam znanego parku, chodząc po nim w szerz i wzdłuż, co mówiąc nawiasem było jak Voltaire powiada, *le plus ennuyant des plaisirs.* Następnie przypatrywaliśmy się pluskającym w wielkim przedpałacowym basenie złotym rybkom, oraz lwom i panterze z cesarskiéj menażerji, które nam dość niegrzecznie ściśnięte zęby pokazywały i białym niedźwiedziom na których ustawicznie miejscowi dozorcy lać musieli zimną wodę aby ich ochłodzić. Oficer gwardji przybocznéj w zwyczajnym szaraczkowym mundurze z pąsowemi wyłogami i w trójgraniastym kapeluszu przyczepił się do mojego ojca. Spostrzegłszy na jego twarzy wyraz znudzenia i niecierpliwości, domyślił się że nie darmo plączemy się na około pałacu. „Państwo czekają tu na kogoś?” rzekł po niemiecku zbliżając się z całą teutońską uprzejmością. — „Tak jest czekamy gdyż obiecano nam widzenie małego księcia Napoleona, kazano nam czekać do wieczora i czekamy.“ — „Kazano państwu czekać?” odrzekł z półuśmiechem niedowierzania, „zaprawdę bylibyście bardzo szczęśliwi; o ile mi wiadomo na tylu cudzoziemców którzy zapragnęli oglądać oblicze jego książęcéj mości żaden jeszcze tego szczęścia nie dostąpił.” Gdy domawiał tych słów, mój ojciec spojrzał na zegarek, szósta dochodziła. Poszliśmy wcześniéj do znajomego nam już przez księcia zajmowanego skrzydła pałacu. Te same niedowierzające nas przywitały spojrzenia. Weszliśmy do sali gdzieśmy poprzednio czekali. Tam spostrzegliśmy pod oknem wychodzącém na szeroką *plate-formę* do ogrodu, siedzącego mężczyznę. Twarz ogorzała, ruchy żywe, energiczne, szpakowata głowa, a co więcéj order komandorski legji honorowéj wiszący na szyi i dwie kule obok krzesła stojące zwiastowały napoleońskiego żołnierza. Trzymał właśnie papier w formie arkusza dobrze przyżółkły i podbrudzony wyraziste weń wlepiwszy spojrzenie; czoło wiekiem i trudami poorane nachyliło się ku oczom, brwi długie gęste i siwe zbliżyły się jedna do drugiéj, łza drżała pod długą rzęsą, uśmiech boleści igrał na ściśniętych ustach. Gdyśmy weszli siedział nieporuszony i w myślach zatopiony, tak że nie spostrzegł naszéj bytności w sali. Po kilku minutach nagle jakby się był ze snu przebudził, papier włożył za frak cywilny, prędko pochwycił za szczudła, *sacre-bleu*..... zawołał na głos, *quel homme!*.... to wyrzekłszy długiemi krokami chodzić po sali począł, mówiąc półgłosem i patrząc z pod oka na drzwi wchodowe, *quel homme! quel homme!*.... W tém wchodzi znany nam już szambelan z oznajmieniem że książe spoczywa i że snu mu przerywać nie należy, że zatém z wielkim żalem oznajmia nam że audjencji dziś być nie może. Na to niespodziewane rozwiązanie nudnego dramatu, francuz spojrzał iskrzącemi oczami na szambelana i zawołał przeciągłym głosem: *Monsieur!* co zawsze u francuza paroksyzm gniewu zwiastuje. Szambelan udał ślepego i głuchego, a oddawszy wszystkim głęboki ukłon dość spiesznie wyszedł. Wszyscy wyszli, na wschodach nasz nie-

znajomy z widoczną zstępował przykrością, co widząc mój brat już wtenczas dwunastoletni rzeźki chłopaczek, szybko pobiegł do niego i wziąwszy od niego kulę jednę podał mu rękę i sprowadził ze schodów. Rozrzewniony nieznajomy zapytał go kto jest? — *Je suis polonais*, odrzekł mój brat. — *Ah polonais! Vous étes donc compatriote de Poniatowski c'était un brave celui-là!....* [1]) *Merci merci mon enfant.* W tém już na dole w przedsionku francuz który ustawicznie coś miał do roboty w kieszeni u przodu zapiętego fraka, spostrzegł z rozpaczą że zgubił papier w który się przed chwilą z taką wpatrywał uwagą. Począł z gwałtownością rozpinać frak, kamizelkę, przewracać wszystkie kieszenie ale nieborak nic nie znalazł. Któż zdoła opisać rozpacz, gniew, irytację tego człowieka gdy się przekonał, że mu brakło tego arkusza zżółkłego papieru będącego o ile się zdawało jego majątkiem, nadzieją, pamiątką lub relikwją. Zbladł jak chusta, drżał jak liść, oczy mu krwią zaszły, usta zsiniały, żyły na czole powyżéj skroni okropnie nabrzękły, zdawało się że go paraliż dotknie. Mój ojciec wylękły tym okropnym stanem, zbliżył się do niego: *ne pourrai-je Vous être utile Colonel*, zawołał tytułując go na domysł?.... Francuz jakby nie słyszał, krzyczał prawie z całego gardła i począł oglądać się na wszystkie strony jakby szukał na kogo gniew wywrzeć. W tém lokaj dworski ubrany w dworską liberję domu austrjackiego, piaskową ze srebrem, ukazawszy się na wyłomie schodów z papierem w ręku pantominą zapytał czyja to zguba? Mój brat w trzech susach przebiegł schody, wziął papier z rąk lokaja i szybko z nim zbiegł nazad i podał właścicielowi. Trzeba było widzieć radość biedaka, porwał za papier, jął go całować, przypatrywać mu się, a potém zaczął ściskać mojego brata ale z takim zapałem jakby go chciał zadusić. Przypatrywaliśmy się z zajęciem téj scenie, a mój ojciec nader nią rozczulony zaproponował francuzowi usiąść na ławeczce za mostem będącéj, na co chętnie przystał. Spocząwszy parę minut i ochłonąwszy z gniewu i strachu nasz żołnierz rozwinął papier na którym rozeznać można było te słowa: *Le Général en chef de l'armée d'Italie déclare que le chef d'escadron Félix a bien mérité de la patrie.* Data była zmazana a na jéj miejscu widać było jakąś czerwoną plamę jakby z krwi. *Monsieur* rzekł francuz do mojego ojca, *je Vous suis à coup sûr bien obligé et à cet enfant aussi. Ce chiffon de papier que j'allais perdre, savez. Vous ce que c'est, ni plus ni moins qu'un écrit signé par notre pauvre empereur. C'est à Arcole qu'il me l'a donné et il faut qu'on m'ensevelisse avec.....* Po długich wykrzyknikach dowiedzieliśmy się że szef szwadronu a jak na teraz jenerał baron Felix, chwilowo wygnany z Francji, uzyskawszy amnestję wracał do ojczyzny. W powrocie pragnął raz przynajmniéj przed śmiercią oglądać oblicze syna swojego bożyszcza. Dla tego wracając z Turcji gdzie się był po ostatnich wypadkach schronił, zboczył na Wiedeń z mocném postanowieniem nie widzenia nic w stolicy Austrji tylko młodego księcia Reichstadt i tyle tylko czasu w niéj zabawić ile potrzeba było dla zyskania na to pozwolenia. Proszę sobie wystawić gniew napoleonisty gdy mu ta ostatnia a tyle upragniona pociecha odmówioną została Ponieważ jenerał przyjechał do Schönbrunn najętym fjakrem, przeto mój ojciec proponował mu miejsce w naszéj karecie co przyjął trochę z miną jakby sam wielką łaskę memu ojcu robił nie zaniedbując kilkokrotnie powtarzać: *oui oui Vous êtes compatriote de Poniatowski.* W czasie przejażdżki z Schönbrunn do Wiednia opowiadał różne swoje wypadki wojenne w których dwóch ludzi, rozumie się cesarz Napoleon i on sam który to rozpowiadał, grali pierwsze role; nie zaniedbywał przytém z całą francuzką galanterją zajmować się moją matką, prawić jéj grzeczności, podnosić i spuszczać szkła od karety w miarę jak wiatr lub słońce do niéj zaglądało, bo francuz jak go silne uczucie nie zajmuje lub zajmować przestanie, jest przedewszystkiém grzeczny dla dam. Odprowa-

[1]) Francuzi w massie, to jest ci co nie byli w kampanji polskiéj nie wiedzieli o Polsce i polakach nic innego, tylko że byli ziomkami księcia Józefa. Dziwny to jest naród w swéj egoistycznéj nieświadomości. (Przyp. aut.)

dziliśmy jenerała Felix do kwatery a sami wróciliśmy do naszego hotelu zasmuceni trochę niemożnością widzenia księcia Reichstadt któregośmy tak żywo poznać pragnęli, a bardzo zabawieni przygodą z francuzem.

Za pierwszą naszą w Schönbrunn bytnością oglądaliśmy także pokoje cesarza Franciszka II i cesarzowéj wówczas już czwartéj jego żony. Nic w nich nie było godnego uwagi wyjąwszy portretów żyjących cesarskich dzieci prześlicznego pędzla Lapie'go, ojca tego który czas jakiś przebywał w Krakowie a o którym już w tych pamiętnikach wspominałam. Dzieci te urodzone były z drugiéj cesarza żony, córki Ferdynanda króla Obojga Sycylji i żony jego słynnéj Karoliny którzy oboje przed wojskami francuzkiemi uchodzić musieli do Sycylji zmuszeni ustąpić tronu najprzód Józefowi bratu Napoleona, a późniéj jego szwagrowi Joachimowi Murat. Monarcha ten prowadził życie nader metodyczne i porządne i to go przy zdrowiu utrzymywało. Wstawał regularnie o szóstéj a jak w zimie o siódméj rano, kładł się o dziesiątéj a najdaléj o w pół do jedenastéj, obiady zaś jadł punkt o drugiéj po południu i téj godziny dla żadnych w świecie względów nie byłby odmienił. Mówiono że gdy na zachodzie i południu Europy wybuchły zawichrzenia, mniéj więcéj około r. 1830, lud wiedeński począł się gromadzić na dziedzińcu pałacu cesarskiego w Wiedniu pod pozorem uproszenia władzy o zniesienie akcyzy od rzezi i wypieku, a tém samém uczynienia cen przystępniejszych tych pierwszych artykułów życia. Cesarz Franciszek zdziwiony niezwyczajném zaludnieniem przystępów pałacu, chciał wiedzieć przyczynę tego; wyszedłszy więc do przedsionka kazał przywołać do siebie przywódzców ruchu i zapytał spokojnie czegoby chcieli? Ci ludzie jęli pokornie przekładać cel przybycia i najpoddańszych reklamacji. Cesarz spojrzał na zegarek, była właśnie druga punkt, zwyczajna obiadowa godzina. *Ich werde davon mit Metternich sprechen, entfernt euch, wir werden ietzt Mittag essen.* Wiedeńczycy zadowoleni z popularności swojego monarchy, odeszli ukontentowani zachwycając się ilekroć razy cesarza słyszano poufale rozmawiającego we własnym zamku z najbiedniejszym z poddanych o niedostatku i interessach, lub gdy widziano w przejażdżkach które dwór czasami odbywał wraz z publicznością do Prateru, powóz cesarski skromnie idący za innemi (à la file) i dający z siebie pierwszy przykład posłuszeństwa urządzeniom policyjnym. Cesarz Franciszek wielką część czasu przepędzał w swojém laboratorjum chemiczném; miał do chemji i wszelkich w téj nauce doświadczeń takie same zamiłowanie jak kiedyś Ludwik XVI do ślusarstwa i zegarmistrzowstwa. Nie będę tu powtarzać licznych o tém zamiłowaniu powiastek po Europie krążących jak np. o laku który monarcha miał własną ręką robić, o ekspedycjach gabinetowych których pieczęcie z wielką miał oglądać uwagą, o ministerjum angielskiém które dogadzając upodobaniu monarchy, w różnych gatunkach mu lak przesyłało; wiele się oddawał chemji i znakomite w téj nauce miał wiadomości. Mówił i czytał biegle po łacinie. W gabinecie cesarskim w Wiedniu pokazywano biórko dość prostéj roboty, ale w którego części wewnętrznéj ukryty był rodzaj kassy czyli żelaznéj skrzyni, półtory stopy długości mającéj. Gdyby się znalazła śmiała ręka usiłująca podnieść tę skrzynię, dwie stalowe ręce poruszone jéj ruchem, natychmiast wyskakiwały z boku gotowe uchwycić śmiałka świętokradzką na nię kładącego rękę a jednocześnie także w ruch wprowadzona trąbka głosiła alarm i wzywała pomocy. W Schönbrunn pokazywano pokoje w których według tradycji miał kiedyś książe Kaunitz pierwszy minister Marji Teressy przemieszkiwać. Człowiek ten był przez lat czterdzieści pierwszym ministrem i kanclerzem państwa austrjackiego. Zaczął on swoją dyplomatyczną karjerę od poselstwa do Francji; powróciwscy do kraju zyskał zaufanie Marji Teressy, Józefa II i Leopolda II, którym kolejno służył. Jego powierzchowność była według miejscowego podania, nie wiele obiecująca, prawie śmieszna, nosił starą i rozczochraną perukę, był dziwaczny w swoich obyczajach. Miał zwyczaj zostawać w łóżku do drugiéj z południa i leżąc jadł śniadanie, dyktował lub słuchał zdawane sobie rapporta o sprawach państwa. *(D. c. n.)*

PODRÓŻE BADACZA PRZYRODY PO ŚRODKOWEJ AFRYCE.

(Dalszy ciąg.)

Gdy byłem w tych stronach, Anglja i Francja nagromadziły znaczne siły morskie, a mimo to jednakże handel szedł jak najlepiéj. Złapano wprawdzie kilka okrętów lecz daleko większa ich liczba przeszła niepostrzeżona. Korzyści tego handlu są z resztą tak znaczne, że straty które przypadają zawsze bywają sowicie wynagrodzone. Często barakony zniszczone na jedném miejscu nagle wyrastały na drugiém jakby z pod ziemi Żądania niewolników bywały niekiedy tak częste, że niemogąc im czynić zadość, niektórzy handlarze dopuszczali się nadużyć z przyjaciołmi swemi krajowcami; zapraszali ich bowiem na swe okręta pod pozorem uczty, potém zaś odpływali na pełne morze aby ich sprzedać. Upadek tego ohydnego handlu, wskazują najlepiéj różne oszustwa jakich się obecnie dopuszczają pomiędzy sobą kupcy. Dawnemi czasy zawierzali sobie zupełnie, dziś rzeczy są w tym stanie, że wypłaty robią się wtedy dopiero gdy towar na statek ładują. Na północnéj stronie równika nié ma już barakonów, najgłówniejsze punkta handlu są około ujścia do morza rzeki Kongo. Handel dozwolony, zastąpił już na północy miejsce handlu niewolnikami, sądziemy że niezadługo i na południu zniknie on zupełnie. Gdy schooner wyruszył z miejsca, udałem się do króla któremu oznajmić kazałem przez mafugę moje odwiedziny. Na drodze do pałacu pokazano mi trzy chaty mieszczące główne bożyszcza krajowe. Cześć ich szczególniéj się rozszerza pomiędzy Banko i Mayombay. Umieszczone są w pobliżu króla aby się nim łatwiéj opiekować mogły. W pierwszéj chacie zamieszkuje bożek *Pangeo* z żoną swoją *Aleką;* są oni oboje głównemi opiekunami ludu i króla zarazem. W drugiéj mieści się *Makambi* ożeniony *z Abialą*, powiadają że jest on pod pantoflem żony, która sama jedynie wzbudza w krajowcach poszanowanie. Boją jéj się bardzo bo przedstawioną jest z pistoletem w ręku i może zabić kogo zechce. Obsypywaną też bywa żywnością i podarunkami. Bożek *Numba* zamieszkujący w trzeciéj chatce, jest kawalerem, ma zarazem władzę Merkurego i Neptuna, oddala złe wszelkie i uspokaja wzburzone morze. Wszystkie te bałwany są wysokie i grubo wyciosane, lud bardzo je szanuje. Gdy oświadczyłem chęć nabycia jednego z nich powiedziano mi że niesprzedadzą go i za cenę stu niewolników, co znaczy że nie jest wcale do zbycia.

III.

Wyjazd wewnątrz kraju — Łąki — Dziwna pomyłka — Hipopotamy — Ngola — Teologja murzynów — Polowania — Torturowanie kobiety — Arak — Sekianisy — Ich zwyczaje i obyczaje — Bos brachicheros — Obozowanie w lesie — Wesołość afrykańska — Polowanie — Powrót do Sangatanga — Posądzają mię o czary — Skarby króla Bango — Cmentarz barakonów — Obrzydliwy widok — Położenie niewolników w Afryce — Cmentarz Orungusów — Przylądek Fetiche.

Gdy prosiłem króla o pozwolenie polowania w głębi kraju, nie tylko że przychylił się do mego żądania, lecz nadto jeszcze dodał mi w pomoc kilkunastu najlepszych swych strzelców, którzy dostawiali nieustannie zwierzynę na stół jego, oraz dostarczali mu obficie kości słoniowéj. Pragnąłem poznać niezwiedzane dotąd przez podróżników okolice o sto mil angielskich odległe, każdemu z mych przewodników po ukończonéj podróży obiecałem dać czterdzieści łokci perkalu czém zdawali się być bardzo zadowolnieni. We dwa dni ukończyłem wszelkie przygotowania. Zabrałem znaczną ilość kul w nadziei spotkania się z tygrysem, z lampartem, z dzikim bawołem i z gorillem. Powiedziano mi że wszędzie znajdę rozmaitą zwierzynę w wielkiéj obfitości, przepowiednia ta sprawdziła się. W wigilją mego wyjazdu na wyraźne żądanie króla (który sądził że mi tém zaszczyt czyni) nocowałem w jego pałacu, w bardzo nieporządnym pokoju, wśród mnóstwa szczurów biegających swobodnie tu i owdzie. Naturalnie w podobném towarzystwie niemogłem spać spokojnie, wstałem też skoro świt i niebawnie wyruszyliśmy wraz z ludź-

mi memi. Miałem dwudziestu trzech strzelców; najstarszy z nich zwał się Aboko, drugi zaś po nim co do dostojeństwa miał na imie Niamkala. Droga nasza była ciągle zasłaną łąkami i lasami, pięknemi jak angielskie ogrody. Około godziny trzeciéj z południa Aboko przestrzegł że jesteśmy w miejscu gdzie zazwyczaj napotykają się słonie i bawoły. W istocie spostrzegliśmy wkrótce jedno z tych ostatnich zwierząt wyglądające ciekawie z zarośli. Widać że widok nasz niepodobał się bawołowi, za chwilę zwrócił się w krzaki. Chcieliśmy mu przeciąć odwrót; zająłem jedno stanowisko w lesie, podczas gdy Aboko z dwojgiem ludzi stawał na straży w drugiém miejscu. Nagle spostrzegłem jakąś szarą przygarbioną postać podążającą ku mnie z głębi lasu, sądziłem że to jeden z moich ludzi i postąpiłem kilka kroków naprzeciw niemu, szare zjawisko wydało wtedy okrzyk przeraźliwy i zniknęło w krzakach. Poznałem dopiero wówczas że wziąłem szympansa za człowieka i żałowałem niezmiernie że nie strzeliłem do niego. Ludzie moi żartowali z téj pomyłki, niepojmowali jak mogłem upatrzyć podobieństwo pomiędzy niemi a szympansem, przypisywali mi raczéj brak odwagi zaczepienia téj dzikiéj małpy, szczęściem niazadługo potém miałem sposobność przekonać ich, że tchórzem nie jestem. Wszedłszy znów na naszą drogę zabiliśmy gazellę na wieczerzę. Zdawało się że cała okolica pełna była zwierzyny, bo jakkolwiek napotkaliśmy tylko bawołu, szympansa i *ngivo*, dziwne mało znane zwierze do osła trochę podobne, jednakże widać było wszędzie ślady słoni i innych dzikich zwierząt, przeczuwałem zatém z radością mnóstwo ciekawych przygod. Żałowałem tylko że niemiałem broni dalekonośnéj, bo zwyczajny karabin dobry był do celowania w pobliżu, z zarośli, tu zaś kraj był w ogóle otwarty i strzelać trzeba było zdaleka. O szóstéj w wieczór rozpaliwszy ogień przygotowaliśmy wieczerzę składającą się z bananów i pieczonéj zwierzyny. Zaspokoiwszy głód który nam dokuczał silnie, rozciągneliśmy się około ognia. Ludzie moi drżąc od zimna okryli się czém mogli, ja zaś mimo że zawinięty w grubą kołdrę niemogłem usnąć dla mocnego chłodu. Noce pod równikiem bywają bardzo zimne, nic więc dziwnego że biedni krajowcy tak lubią ogień. Lasy ktore przebyć mieliśmy pełne były dzikich bawołów zwanych przez krajowców *Bos brachicheros* oraz przez gazelle i antylopy które w dzień wychodzą na paszę w okoliczne łąki. Cały kraj do koła był cudny, górzysty, pełen szumiących potoków, skał, urwisk i przepaści. Niemogąc spać dla zimna wstałem przededniem. Towarzysze moi którzy więcéj jeszcze ucierpieli, bardzo radzi byli temu że już mogą wyruszyć daléj. Księżyc przyświecał naszéj wędrówce, nad ranem doszliśmy do lasu który nas mógł przynajmniéj ochronić od przejmującego wiatru, tam więc rozpaliwszy ognisko znów spoczęliśmy aż do wschodu słońca zwiastowanego krzykiem kuropatwy popielatéj *(francolinus squamatus)* który nas zbudził. Na pierwszéj łące którą napotkaliśmy idąc daléj w drogę, pasło się stado bawołów, uciekły w las na nasz widok. Póki tylko były na łące nadawały całemu krajobrazowi koloryt cywilizowanego świata. Zdało mi się że widzę pasące się trzody jakiéjś poblizkiéj wioski. Około godziny drugiéj z południa przybyliśmy do stawu w którym po raz pierwszy widziałem hipopotamy. Kilkanaście tych ciężkich i niezgrabnych zwierząt igrało wesoło w wodzie. Ich niekształtne głowy to zanurzały się w głąb, to znów wyglądały po nad powierzchnię. Aboko przedstawił mi że niemożna było strzelać do nich, albowiem niemoglibyśmy wydobyć naszéj zdobyczy z wody. Najlepszą chwilą polowania na hipopotamy jest ta w któréj wychodzą na ląd stały paść się po zachodzie słońca. Idąc daléj weszliśmy na wzgórze skąd dopatrzyłem wdali karawanę, którą wziąłem z początku za trzodę bawołów. Gdy ludzie składający ją spostrzegli nas, niewiedząc czy mają do czynienia z przyjaciołmi lub nieprzyjaciołmi, pochowali się w trawę. Po chwili dopiero czterech najśmielszych i dobrze uzbrojonych wyszło na nasze spotkanie, pytając zdaleka czy im niesiemy pokój czy wojnę? Gdy się zbliżyli przerażeni zostali moim widokiem; niepojmowali jak człowiek biały mógł się odważyć na podróż w głąb ich kraju. Zawołali na towarzyszów aby przyszli co prędzéj oglądać *otongani'sa.* Na-

tychmiast otoczony zostałem licznym tłumem ciekawych, którzy niewidzieli jeszcze nigdy ludzi białych; prowadzili bowiem handel z niemi za pośrednictwem innych murzynów. Karawana udawała się na wschód przewożąc pakunki z solą i tytuniem; składała się z Sekianisów zamieszkujących w tej okolicy, mieli oni zamiar zakupywać niewolników i kość słoniową. Porzuciliśmy ich niezadługo spiesząc się na noc do wioski. Nad wieczorem dociągnęliśmy wreście do osady zwanéj Ngola, rezydował w niéj naczelnik Sekianisów zwany Njambai, podwładny króla Bango. Aboko polecił mu w imieniu monarchy, aby nas wszystkich podejmował dopóki tylko polować będziemy w tych stronach. Cała wieś składająca się z pięćdziesięciu chat bambusowych, była porządnie bardzo zabudowana, co należy do rzadszych zjawisk w Afryce. Gdyśmy się zbliżyli, kobiety które mię najpierw spostrzegły, poczęły uciekać z krzykiem. Pierwszy widok człowieka białego przeraża zazwyczaj. Uciekały tak szybko wraz z dziećmi jak gdyby szło o uratowanie życia. Mężczyzni stali spokojnie, a chociaż sam Njambai również nieznał ludzi białych, jednakże przyjął mię z prawdziwą uprzejmością. Powiedział że cała okolica podlega jego władzy i obiecał mi dostarczyć strzelców tyle ile zapotrzebuję. Zaprowadzono mię z honorami do najlepszego domu we wsi który zajmować miałem; budowa ta należała do brata królewskiego imieniem Chishooko. Chata Njambaja była również dość porządną, na ścianach pozawieszane były kolorowane ryciny dar króla Bango; niebyło wprawdzie stołków lecz zastępowały je drewniane ławy. Zasiedliśmy na jednéj z nich wraz z gospodarzem, który jak zauważałem kontent był z moich odwiedzin, byłem więc pewny dobrego przyjęcia. Zaledwie ułożyłem rzeczy moje w domu który zajmowałem gdy podano obiad; składał się z bananów gotowanych i pieczonych, ze słodkich patatów, z kurcząt gotowanych i z pieczonéj małpy. Niekosztowałem nawet téj ostatniéj potrawy, bo zanadto żywo małpa przypominała mi człowieka i jedynie głód wielki mógłby mię zmusić do takiego jedzenia. Po obiedzie posłałem królowi w darze tytuń wirginijski, nad który wiedziałem że niema dlań nic milszego; odwdzięczył mi się téż niebawnie wspaniałym pękiem trzciny cukrowéj. Chata Njambaja była bardzo porządna lecz mieszkanie które zajmowałem miało nadto jeszcze drzwi zamykane na klucz któren gospodarz mój Chishooko oddał mi z przestrogą abym pilnował dobrze moich rzeczy, co znaczyć miało że będę okradzionym jeżeli tylko zostawię dom otworem. Wieś w któréj zamieszkiwałem położona jest o 60 mil na wschód Sangatangi, łatwo w niéj nieraz dopatrzeć śladów cywilizacji. Nazajutrz po mojém przybyciu wypadł dzień niedzielny, chciałem zabronić strzelcom polowania, lecz zakaz ten na nic się nieprzydał, mówili że niedziela była przeznaczona do spoczynku białych, nigdy zaś dla murzynów. Zazwyczaj dowodzą oni że inny Bóg, inne prawa nadał białym, inny zaś stworzył czarnych wedle swego upodobania.

Cieszyłem się że mogę wypocząć przez cały dzień świąteczny; król przyszedł do mnie wraz ze starszyzną i dziwiliśmy się wzajemnie naszym wyobrażeniom. Powiedziałem im że bożyszcza wyrobione własnemi ich rękami niemają żadnéj władzy, że Bóg jest jeden tylko i zarówno zajmuje się białemi jak czarnemi, że czary nieistnieją i grzechem jest zabijać ludzi o nie obwinionych. Mowa moja wywołała szmer podziwu i niedowierzania. Król zabrał głos i nieco późniéj winszował mi że należę do ludzi białych na których ich Bóg tyle łaskaw, że im zsyła wprost z nieba karabiny, proch i kule. Brat królewski wtrącił kilka słów o przyjemności jaką mamy z posiadania rzek płynących arakiem, dodając że byłby bardzo rad zamieszkiwać ich brzegi. Odpowiedziałem że broń wyrabiamy sami, ównie jak arak, który bynajmniéj nie napełnia koryt rzek naszych; widocznèm było że to tłomaczenie nie przypadło im do smaku. Król obdarzony bardzo dobrém i wspaniałomyślném sercem oświadczył mi że mogę pojąć za żony tyle kobiet ze wsi ile zechcę, wszystkie bowiem są na moje rozkazy. Odrzuciłem tę ofiarę z podziękowaniem, mówiąc że ludzie biali miewają zazwyczaj po jednéj tylko żonie i że posiadanie nawet dwóch jest im wzbronione. Na tak szczególny obyczaj wszyscy wydali jednogłośny

okrzyk podziwienia, kobiety nawet ganiły go niezmiernie. Łatwo odgadnąć po tém że murzyni wyobrażali sobie białych ja ko nader dziwaczne istoty, obyczaje nasze raziły ich bezwątpienia, zarówno jak nas ich sposób życia. Nazajutrz rano wyruszyłem w pole z memi strzelcami do których przyłączyli się niektórzy ludzie ze wsi Aboko poszedł z kilkoma towarzyszami wyszukiwać lampartów, ja zaś z resztą miałem zamiar polować na wszystkie zwierzęta jakie tylko napotkam. Około południa powróciliśmy obładowani zwierzyną, niezabiliśmy wprawdzie żadnéj większéj sztuki, lecz niemniéj przeto cieszyłem się moją zdobyczą, gdyż pomiędzy ptakami które sam zastrzeliłem napotkałem śliczny nieznany mi dotąd gatunek pentady. Ta czubata kura gwinejska *(numida plumifera)* miała śliczną szafirową główkę zdobną wysoką kitką, szyję czarną, resztę zaś pierza na tle szafirowém ubarwionego w błękitne i białe centki, dziób i nogi ciemne szafirowe, końce zaś skrzydeł białe. Zabrałem się czémprędzéj do wypchania jéj, gdyż w tym kraju niemożna i dwudziestu czterech godzin przetrzymać zwierzyny, bo mrówki pożerają ją natychmiast. Uradowany zdobyczą pentady wysłałem ją nazajutrz przez pewną okazję do Sangatanga wraz z wypchaną również rzadką i ciekawą czarną małpą *(colobus satanus)*. Aboko powrócił bez żadnéj zdobyczy, niezmartwiłem się tém bynajmniéj bo miałem tak silny ból głowy, że niepodobna mi było zajmować się dłużéj preparowaniem moich okazów. Położyłem się zawczasu mocno strudzony, nie mogłem jednakże zasnąć dla hałasu który panował do koła, z okazji uroczystości wyprawionéj we wsi na cześć mego przybycia. Nazajutrz niemogłem iść na polowanie dla silniejszego jeszcze bólu głowy, cały dzień zatém byłem okazywany Sekianisom jako zamorska osobliwość. Njambai uradowany był ruchem jaki obecnie panował we wsi. Zbiegano się zewsząd aby mię oglądać z pełną podziwu ciekawością, włosy moje szczególniéj wzbudzały żywe zajęcie. Niektórzy przyglądali mi się z pewną trwogą i poszanowaniem, sądzili bowiem że jestem duchem (*mbuiri*). Wieczorem moi strzelcy przynieśli mnóstwo małp których raczyli się mięsem podczas gdy wypychałem skóry rzadszych okazów. Na szczęście moje téj nocy spokój panował już we wsi, mogłem się zatém wyspać. Była to noc księżycowa poświęcona zabobonom miejscowym, wszyscy (nieumiejąc zdać sprawy czemu to czynią) kreślili na ciele swém dziwaczne znaki krédą udając się na spoczynek. Nazajutrz nieopuszczałem mego domostwa i bardzo rad byłem temu, bo udało mi się wybawić od śmierci męczeńskiéj biedną kobietę. Usłyszawszy jéj bolesne krzyki zapytałem coby znaczyły? a gdy uwiadomiono mię że król wymierza karę jednéj z żon swoich, pobiegłem szybko do jego pałacu aby ratować nieszczęśliwą. Przed gankiem ujrzałem ją rozciągnioną na ziemi. Przywiązana była do grubego słupa, ręce, nogi jéj i szyję otaczały grube postronki okręcone około kijów które ją tak cisnęły, że rozraniały ciało do kości. Mnóstwo ludzi przyglądało się temu nieokazując żadnego wzruszenia, snać oswojeni byli z podobnym widokiem. Poszedłem prosto do króla i prosiłem go aby dla méj miłości darował życie téj kobiecie. Wahał się z początku, lecz gdy mu zagroziłem opuszczeniem niebawném jego kraju, pozwolił mi ją uwolnić. Rozciąłem czémprędzéj jéj więzy z pod których krew tryskała, dziękując w głębi duszy Bogu że mi dozwolił spełnić czyn miłosierdzia. Zapytałem potém co zawiniła skazana? odpowiedziano mi że ukradła pas naszywany paciorkami który król nosił zazwyczaj i podarowała go swemu ulubionemu. Ażeby rozweselić myśl jego hebanowéj mości, pokazałem mu małego ptaszka siedzącego na wierzchołku wysokiego drzewa obiecując że go zastrzelę. Zewsząd ozwały się głosy że to jest niepodobném, albowiem w ogóle murzyni rzadko kiedy trafiają do celu. Przyniesiono moją fuzję któréj zamek z pistonem był nowym przedmiotem podziwu, krajowcy albowiem używali na ten cel krzemienia. Gdy zastrzeliłem ptaka zadecydowano że muszę mieć jakiegoś przyjaznego *fetisza* który mi w tém dopomógł. Chcąc rozweselić jeszcze lepiéj mych widzów dobyłem zapałek; po pierwszéj którą zapaliłem wszyscy uszczęśliwieni byli tém że umiem *robić ogień* i prosili o więcéj przedstawień. Nazajutrz potém,

poszedłem znów na polowanie. Udało mi się znów zabić osobliwszego ptaka amerykańskiego zwanego dziką czarną kurą *(phasidus niger)*. Zbiory moje zaczynały mi już zabierać bardzo wiele miejsca, zauważyłem że niepodobna mi będzie dotrzeć z niemi aż do Nazaretu, témbardziéj że dla mnóstwa mrówek zachowanie ich od zniszczenia stawało się coraz trudniejsze. Trudno sobie wyobrazić kłopoty strzelca zbieracza osobliwości, zaledwie bowiem strudzony wróci z polowania, już nowa czeka go praca z wypychaniem zabitych zwierząt. Po wypchaniu trzeba je natychmiast zawiesić u belki sufitu, przez najmniejszą bowiem nieoględność można stracić okaz najrzadszy. Nieraz zdarzyło mi się że rzecz która mię najwięcéj kosztowała zachodu, w ciągu jednéj nocy zjedzoną była przez mrówki, jeżeli tylko sznury nie były założone jak być powinny. Oświadczyłem królowi że muszę odwieść zbiory moje do Sangatanga. Zapakowawszy je wieczór w wigilją dnia wyjazdu, w nagrodę za gościnne przyjęcie mieszkańców wioski rozdałem im resztki tytuniu. Dostałem w zamian na drogę od króla, kurczę sześć jaj i dwanaście bananów. Obiecałem mu przysłać w darze z Sangatanga sztukę perkalu, proch, tytuń, paciorki szklanne i trzy fajki. Prosił aby jeszcze dodać trochę araku lecz nie chciałem się do tego zobowiązywać. Zapraszał mię wtedy abym do niego powrócił, obiecując dać mi w pomoc najlepszych strzelców oraz przyrzekając jeszcze wiele innych dogodności, zawsze w nadziei że za to dostanie ulubionego sobie trunku. Wyobrażam sobie jakby go uszczęśliwiła podróż do Sangatanga gdzie mógłby się nim raczyć do woli. Na samym wyjeździe rzekł że doda mi syna za towarzysza podróży, aby następnie przywiózł mu ofiarowane przezemnie dary i znów prosił abym niezapomniał przysłać araku. Podarował mi potém starą zczerniałą fajkę, polecając abym ją pokazywał wszystkim w Ameryce, jako ulubioną własność króla Njambai. Ponieważ niespodziewam się powrócić więcéj pomiędzy Sekianisów, muszę dać o nich czytelnikom niejakie wyobrażenie. Sekianisy i pokrewne im ludy zamieszkują kraj od brzegów Muni i Moondach'u aż do wybrzeży Ogobay'u na południe. Mieszczą się w chatach i wsiach rozpierzchniętych, niemając żadnego głównego miejsca zebrania, zachowują jednakże starannie swoją narodowość i niełączą się bynajmniéj z sąsiadującemi z niemi Mpongwami i Bakalaisami. Są oni miernego wzrostu cery dość jasnéj jak na murzynów, waleczni wojownicy, przytém chciwi handlu i oszusty zawołane. Lubią namiętnie polowanie; mężczyzni równie jak inni krajowcy niezatrudniają się rolnictwem, zostawiając tę pracę kobietom i niewolnikom. W wojnie zawsze używają podejścia i nielubią się bić w otwartém polu. Jeżeli pokłócą się między sobą, człowiek obrażony zasadza się na swego przeciwnika w miejscu ustronném i zabija go, wtedy przyjaciele zmarłego chcąc śmierć jego pomścić robią nowe zasadzki. Widywano niekiedy po kilkanaście na raz wiosek które miały jakieś krzywdy do pomszczenia, ztąd lata całe ciągnęły się zabójstwa i rozboje. Nie pochodziły one z upodobania w krwi przelewie, lecz wprost z niepohamowanego uczucia zemsty. Wielożeństwo powszechne u Sekianisów przybiera pomiędzy niemi charakter instytucji politycznéj. Człowiek połączony przez żony z kilkunastu rodzinami swego pokolenia, szeroko rozpościera stosunki handlowe i używa wziętości w kraju. Małżeństwa zawierają się bardzo wcześnie, widziałem młode mężatki nie liczące więcéj nad ośm lub dziewięć lat wieku. Dorośli mężczyzni zaślubiają nieraz jeszcze mniejsze dzieci, oddają je wtedy pod dozór starszych żon które się niemi opiekują póki niedorosną. Zdarza się nieraz że ludzie wolni biorą za żony niewolnice, dzieci tych ostatnich lubo są wolne nie używają jednakże wszystkich przywilejów dzieci innych kobiet. Kobieta z którą się mąż źle obchodzi schrania się nieraz do obcéj wioski; mieszkańcy mają sobie za hańbę wydać ją prześladowcy, ztąd więc nieraz bójki i niesnaski. W ogóle obchodzą się z kobietami okrutnie, najcięższa praca bywa im przeznaczona. Gdy mężczyzni wycinają czerwone drzewo farbierskie, kobiety przez dzikie wąwozy i zarośla przedzierać się muszą niosąc pnie na plecach, aż do brzegów rzek spławnych oddalonych nieraz o mil kilka. Pokolenie Sekianisów dzieli się

na klassy, które jakkolwiek składają się z wielu rodzin, jednakże niewolno ich członkom zawierać małżeństw pomiędzy sobą. Znaczna liczba dzieci a osobliwie chłopców dodaje powagi wodzom, matki licznego potomstwa są również w większém poszanowaniu od innych, nie umieją one jednakże wychowywać dzieci i wiele ich umiera w pierwszych chwilach życia. Jakkolwiek pokolenie Sekianisów nie należy do koczujących, jednakże za lada przyczyną przenoszą się oni z miejsca na miejsce. Najczęściéj powoduje ich do tego kłótnia z sąsiadami lub myśl że wieś ich została oczarowaną. Zabierają wtedy co mogą i wynoszą się jak najdaléj od nieszczęśliwéj miejscowości. Trudno znaleźć więcéj zabobonnego ludu, złe lub dobre duchy, czary i fetisze, odgrywają nieustannie ważną rolę we wszystkich wypadkach jego życia. W niektórych miejscach Sekianisy przybierają nazwę Mbondemosów, Mbichosów, Ntaimosów i Akoasów.

W pięknym dniu letnim wyruszyłem do Sangatanga z zamiarem polowania w czasie podróży na większe zwierzęta, zamówiłem sobie wpierw u króla dostawę żywności w drodze, aby nie umrzeć głodową śmiercią w razie gdyby się polowanie niepowiodło. Około trzeciéj z południa po nad brzegiem małego jeziora dostrzegliśmy samotnie pasącego się bawoła. Ludzie moi ukryli się padając twarzą na ziemię, ja zaś pod zasłoną wysokiéj trawy podsunąłem się bliżéj i wystrzeliłem. Bawół rzucił się wściekle ku mnie, lecz w chwili gdy zabierałem się do drugiego strzału padł nieżywy na ziemię. Towarzysze moi podnieśli się z okrzykami radości; w momencie bawół został oporządzony i pieczeń z niego przygotowana na wieczerzę. Ukontentowanie strzelców z tego przysmaku było wielkie; powiadali że trudno znaleźć kogoś szczęśliwszego na łowach odemnie. W istocie od czasu jak wyruszyli w podróż znacznie lepiéj wyglądali, mając ciągle poddostatkiem mięsa z małp i innych zwierząt. Oddaliliśmy się już o jakie mil piętnaście od wsi Njambaja, umyśliłem zatém pozostać dłużéj w tém miejscu gdzie wielkie lasy do koła obiecywały wiele zwierzyny; bliskość zaś jeziora bardzo także była korzystną, bo zazwyczaj nad wieczorem zwierzęta przychodzą pić wodę, spragnione po całodziennym skwarze. Rozbiliśmy tedy namioty nasze na téj pięknéj łące, rozpaliliśmy ogień i zdało nam się że znów we wsi jesteśmy. Poczciwy Njambai przysłał nam dziesięciu ludzi obładowanych bananami które właśnie bardzo w porę nadeszły. Gdy wieczerza już była gotową, miałem małą przemowę do towarzyszów; znając ich skłonność do kradzieży obawiałem się o rzeczy moje, które musiałem pozostawiać w miejscu udając się na polowanie. Ostrzegłem tedy że którenkolwiek poważyłby się co z nich odłożyć na stronę, zostanie natychmiast śmiercią ukarany przezemnie. Załatwię potém rachunek z waszym królem, dodałem jeszcze. — Niewiele nam wtedy z niego przyjdzie, odparł żartobliwie Aboko, z ową złośliwą wesołością właściwą ludom afrykańskim. Zapewnili mię głośno o swéj poczciwości, wiedziałem jednakże o ile na nią rachować mogę. Gdy już ten interes został załatwionym, usiedliśmy dokoła ognia po nad którym zwieszał się kociół z mięsem bawoła i piętrzyły się do koła stosy pieczonych bananów, aby zjeść smacznie przyrządzoną wieczerzę. Jadłem na talerzu posługując się nożem i widelcem które zawsze nosiłem z sobą, ludzie zaś moi kładli kawały mięsa na liściach i jedli tak zwanemi przez siebie widelcami murzynów, to jest palcami. Po wieczerzy utraktowałem ich dzbanem palmowego wina które mi podarował Ngola, następnie zaś na zakończenie téj wspaniałéj biesiady podarowałem im pakę tytuniu. Radość ich wtedy była nie do opisania. Zaczęli palić fajki natychmiast rozłożywszy się na ziemi koło ognia. Oblicza ich przybrały ów wyraz błogiego zadowolnienia właściwy murzynom gdy palą tytuń. Zaczęli również zaraz opowiadać sobie fantastyczne powieści o czarach, których nieskończyliby przez noc całą, gdybym im był nieprzypomniał spóźnionéj godziny. *(D. c. n.)*

KONKURY MATUSZEWICZA O PANNĘ OSSOLIŃSKĄ.

ROMANS Z XVIII WIEKU.

Józef Ossoliński był to człowiek zawsze smutnego humoru, skąpy nadzwyczaj, a co nadewszystko nierzetelny, nie budził w nikim dla siebie szacunku. Dumny był, że z wielkich przodków pochodził, ale sam nie miał tyle majątku, żeby nim świecić przed bracią szlachtą, nie miał także krzesła w senacie, stąd sam musiał zabiegać o łaski możniejszych, nad czém cierpiał niezmiernie; zubożeli już Ossolińscy, wielu ich było na Podlasiu i w sąsiednich ziemiach tego województwa, siedzieli na małych wioskach, powiatowe tylko piastowali urzędy. Jedna gałęź wprawdzie wybujała wysoko w podskarbim koronnym Franciszku, ale oprócz blasku mała pociecha była stąd dla rodziny, bo podskarbi, chociaż został diukiem i parem Francji za wierność królowi Stanisławowi Leszczyńskiemu, wyniósł się z ojczyzny i mieszkał w Lotaryngji.

Józef ten, syn Stefana chorążego Mielnickiego, sam był naprzód cześnikiem mielnickim w roku 1736. Ożenił się z Teressą Siennicką kasztelanką liwską [1]). Kłaniał się zaś księciu Fryderykowi Czartoryskiemu kanclerzowi, który podówczas całą Litwą trząsał.



Ossolińska to nie Piotrowiczówna, mówił ojciec stolnikowi.

Jednę córkę swoją wydał za Dąbrowskiego, ale poszła do rozwodu. Wtedy

[1]) Monografje Kossakowskiego, tom 2gi, str. 129.

ojciec powtórnie ją wydał za Opackiego chorążego liwskiego, ale chorując na ambicję, wymógł to na zięciu, że mu swojego chorąztwa ustąpił. Kiedy umarł Opacki, wdowa rozwódka poszła raz jeszcze trzeci za mąż za Brzozowskiego, lecz i z tym zgodzić się nie mogła i zażądała rozwodu.

Córka ta zupełnie widać wdała się w ojca, który także nie był kontent ani ze świata, ani z ludzi. Dostał przez nią wyższy urząd w ziemstwie, marzył więc o tém jak przez młodszą wyżéj się wzbije. Ale tu jeszcze właśnie trafił się sęk i wielki. Ostatnia to już była nadzieja, jakże się tu nie podrożyć, jak nie namyślać długo? Biedny chorąży, znudzony śmiertelnie, sam nie wiedział co robić i córkę swoją raz wraz temu i owemu stręczył, a nikomu słowa niedotrzymywał. Bywało to, że nieraz zrywał uroczyste zaręczenia i obietnice, kiedy mu kwaśny humor tak kazał, lub kiedy się nagle otwierały jakie niespodziewane widoki. Obiecał córkę naprzód Siennickiemu podczaszemu mielnickiemu, już nawet spisano intercyzę, kiedy przypomniał sobie, że kawaler jest krewnym żony i że takim sposobem zerwać z nim łatwo. Myślał potém o Szelucie; był to Litwin, szlachcic zaściankowy z drobiazgu szaraczkowego, więc gdzie mu to było patrzeć na Ossolińskich? Ale ten pan Szelutta miał wielką swoją wartość, bo był marszałkiem dworu w Wołczynie u księcia kanclerza; to jedno już stanowisko wysoko podnosiło pana Szeluttę, cóż dopiero kiedy się wspomni, że u kanclerza miał wielkie względy? Mógł pójść sam w górę i teścia pociągnąć za sobą. Dosyć, że spuścił wiele z tonu chorąży i świetność związków rodzinnych o jakiéj mógł marzyć, poświęcił piękné rzeczywistości, która się przedstawiała. Wdał się w to sam książe kanclerz, rad zmieszać krew ze krwią, a mieć za sobą całe tłumy obowiązanych, chociażby i potomków wielkich rodzin. Już nawet dla zakończenia téj sprawy, do Wołczyna wybrali się w końcu grudnia 1752 roku po świętach Bożego Narodzenia chorąży z żoną i córką, kiedy nagle projekt się zmienił.

Tą rázą zagaiła sprawę sama pani chorążyna, która zmiarkowała już, że mąż się namyśla co do Szelutty. Siedziała właśnie przy stole gościnnym u księcia obok pana Marcina Matuszewicza stolnika brzeskiego. Mężczyzna to był pod lat 40, w samém sile wieku, a wielki także ulubieniec księcia kanclerza. Niewiadomo czy chorążyna umiała obliczyć wszystkie korzyści z takiego wyboru i przewidywać przyszłość stolnika, ale to pewna, że Matuszewicz, człowiek zdolny, rozumny, prawdziwy statysta, mówca i sejmikowicz, człowiek do rady i do szabli był podówczas jednym z najczynniejszych dworaków księcia kanclerza. Dawniéj to jeszcze lgnął cokolwiek do Sapiehów, którym jego rodzina wiele była winna, ale ze śmiercią uczonego kanclerza Jana Fryderyka, która tylko co nastąpiła, przeniósł się zupełnie do Familji i przyjaźń z jednym kanclerzem zamienił na przyjaźń z drugim. Każdy to widział, że Matuszewicz dostawszy się do łaski pańskiéj, stanie się filarem swojéj rodziny, wielkim, potężnym filarem. To nie był Szelutta człowiek skromny i cichy, którego jedynie zalecało marszałkowstwo wołczyńskie. Stolnik brzeski sam przez się był wiele wart. Wątpiemy czy te głębokie kombinacje przeszły przez głowę pani chorążyny, ale siedząc u stołu obok Matuszewicza sama rozpoczęła swaty. A może mąż ją do tego upoważnił.

Chorążyna przystąpiła prosto do rzeczy i zapytała się stolnika, czemu się nie żeni, a gdy Matuszewicz kilka słow jakichciś bez celu przemówił, coś w tym rodzaju, że nie znalazł dotąd sobie panny, chorążyna wskazała na córkę i zachęciła, ażeby o nią się starał. Nic nie odpowiedział na to Matuszewicz, ale zwrócił uwagę swoją na pannę; podobała się mu pokora i skromność w chorążance, ale piękność to była bardzo pospolita. I na tém się podobno na ten raz swaty skończyły.

Wieczorem już miał stolnik odjeżdżać do siebie z Wołczyna do Rasny, kiedy go zawołał książe i kazał układać punkta ślubne do intercyzy Szelutty z chorążanką. Matuszewicz posłuchał, a przy téj okoliczności dowiedział się o posagu panny. Ossoliński miał jeszcze dosyć znaczną fortunę, a tylko dwie córki i syna, mógł więc dać i większy posag. Jednakże targował się bardzo, dawał Szelucie Dziatkowskie, wieś

zniszczoną o dwudziestu chłopach, do tego w zastawie w ręku obcém; teść pozwalał ją zięciowi wykupić i żądał jeszcze od niego 5,000 złotych pol. za jakąś summę, do któréj miał prawo, a którą mu przekazywał z warunkiem, ażeby się dopiero o nią w trybunale piotrkowskim spierał ze szlachtą Nowomiejskiemi. Zeszli się wszyscy trzej interessowani do izby chorążego i radzili wspólnie. Oczywiście Szelutta nie przystawał na takie warunki i chciał większego i bezpieczniejszego posagu.

Przemówił się z tego powodu nawet ostro z chorążym; stolnik musiał godzić przyszłego teścia z przyszłym zięciem. Szelutta był więcéj drażliwy, stąd prosił stolnika, ażeby wyszedł z izby i pozwolił mu obydwom sam na sam się rozmówić, ale zwodnicza to była nadzieja, bo zamiast pogodzić się, Szelutta z Ossolińskim skłócili się jeszcze więcéj.

Stolnik dał znać zaraz księciu, jak źle poszła cała sprawa, a kiedy po długiéj zwłoce wrócił do komnaty, znalazł mocno na siebie zajątrzonych Szeluttę i Ossolińskiego. Chorąży wziął wtedy pośrednika na ustęp do drugiego pokoju i tam gorzko przed nim narzekał na niegrzeczność i dumę Szelutty. Stolnik zapytany odpowiedział chorążemu, że tutaj wcale nie winien przyszły zięć, ale on sam przez swoje skąpstwo, bo trudno się zapierać oczywistości, wszyscy wiedzą że chorąży powinien dać za córką większy posag, bo ma z czego, posiada dobra i kapitały są przecie, nareszcie upierając się, obraża tém samém księcia, który łaskaw był wdać się sam w swatanie swojego marszałka: książe pan możny, gniewać go nie trzeba, a już się bardzo rozgniewał, skoro z ust jego się dowiedział o wybiegach chorążego. Był czas Ossolińskiemu do ściślejszych i serdeczniejszych zwierzań. Odpowiedział więc, że komu innemu nie robiłby takich trudności; stawiał je tylko Szelucie, bo co za wielki zaszczyt dla Ossolińskich mieć takiego zięcia? Rozmyślił się i chciał z nim zerwać, stąd użył wybiegu, ażeby nie drażnić i księcia i jego marszałka. Komu innemu, zakończył wreszcie Ossoliński, godniejszemu, dałby daleko większy posag i bez żadnych trudności. Oczywiście to wszystko znaczyło, że sam stolnik mógłby zostać tym wybranym zięciem Ossolińskich. Przypomniał sobie zaraz stolnik rozmowy chorążyny przy stole i był w domu. Możeby i nie był od tego, żeby się z chorążanką żenić, ale wziąwszy te rzeczy na rozwagę, zgorszył się naprzód niegodném postępowaniem samego ojca panny, który nie miał odwagi jawnie zerwać z Szeluttą, a potém lękał się obrazić na siebie księcia kanclerza. Wybrany przez niego na pośrednika, byłby wyszedł na zdrajcę, byłby się panu swemu przeniewierzył. Nic więc Ossolińskiemu nie odpowiedział Matuszewicz i odszedł go nagle, zostawiwszy pogrążonego w dumaniach.

Był na dworze księcia kanclerza niejaki Gorecki, co trzymał archiwum, wielki wróg Szelutty i jakby na umyślnie wielki znowu przyjaciel Ossolińskiego. Oczywiście Gorecki wiedział o wszystkiém i postanowił usłużyć nieprzyjacielowi po swojemu. Natarł więc na Matuszewicza, ażeby się żenił z chorążanką.

— Nie tutaj, i nie teraz, odpowiedział stolnik brzeski.

— To nic, Gorecki powtórzył namowy swoje raz jeden, drugi i trzeci. Matuszewicz zawsze miał tęż samą odpowiedź, że boi się urazić księcia, że wtenczas dopiero możeby się namyślił, gdyby chorąży stanowczo zerwał z Szeluttą. Nie zapierał się tego, że panna i związki rodzinne bardzo mu się podobały, ale o tém wszystkiém jeszcze byłoby czasu dosyć mówić, gdyby z Szeluttą coś się zrobiło pewnego.

Jednakże stolnik nabił sobie widać tém ożenieniem głowę, skoro zaraz przybywszy do Rasny, posłał po Borkowskiego, sąsiada Ossolińskich. Byłto vice-rejent grodzki brzeski, a więc podwładny stolnika, który z łaski starosty pana Jerzego Fleminga trzymał pisarstwo grodzkie w Brześciu. Kiedy przyjechał Borkowski, skrzętnie się go wypytywał stolnik o chorążankę, o jéj cnoty i zatrudnienia domowe. Vice-rejent znał pannę z najlepszéj strony i dał za nią jak najlepsze świadectwo, ale nie zataił wcale za to nierzetelności chorążego i pełno o tém rozpowiedział szczegółów; zrażało to wszystkich dawnych współzawodników, zraziło i stolnika, a że właśnie wtenczas Antoni Zabiełło marsza-

łek kowieński pisał do niego i obiecywał, że wyswata mu siostrzenicę swoją Piotrowiczównę herbu Murdelio, tę samę, która potém poszła za mąż za Chełchowskiego stolnika kowieńskiego, więc Matuszewicz, który już dawno wzdychał do spowinowacenia się z Zabiełłą i dla tego o łaski jego zabiegał, zwrócił się nagle w tamtą stronę i zapomniał o chorążance zupełnie. Piotrowiczównę znał jeszcze dzieckiem. Było to mu podwójnie na rękę. Dotąd książe kanclerz używał często jego pomocy do wyrabiania na swoją stronę sejmików deputackich, które się zwykle odbywały w Litwie na gromnicę. Służąc księciu nieraz się stolnik narażał nietylko braci ale i panom, co stawali przeciw kanclerzowi. Dworak więc niechciał tego i właśnie teraz listy Zabiełły uradowały go niezmiernie. Będzie mógł jechać w kowieńskie pod pozorem starania się o pannę, sejmiki księcia niechaj kto chce wyrabia.

Z tą myślą pojechał znowu do Wołczyna opowiedzieć się księciu, jako na sejmikach brzeskich nie będzie dla tego, że wybiera się do Kowna. Rozgniewał się książę, ale stolnik, który już wszystko z góry przewidział, jako wielki statysta, znalazł odpowiedź i łatwo pana swego zaspokoił.

— Łatwiéj, mówił, bezemnie, jak przy mnie poprowadzisz W. Ks. Mość sejmiki. Nieprzyjaciele zazdroszczą mi łaski W. Ks. Mości i stąd na złość, kiedy będę w Brześciu, zepsują sejmiki; zapewnie zechcą się sami popisać, kiedy mnie tam nie będzie i w myśli Waszéj Ks. Mości utrzymają sejmik, żeby tém dowieść, żem niepotrzebny dla Wołczyna.

Stolnik mówił tak zawsze do przekonania i zawsze prawdę, że książe kanclerz uwierzył i pozwolił mu jechać do Kowna.

Wybrał się zatém Matuszewicz z Wołczyna do Czemer, to jest prosto do siebie, żeby się przygotować godnie do podróży, w której o przyszłość jego chodziło. Czemery była to wieś zastawna z hrabstwa Czarnawczyckiego; dał na nią pieniędzy starosta stokliski ojciec, a potém wieś wypuścił stolnikowi na posag.

Tymczasem Gorecki nie przestawał myśléć o Szelucie, żeby mu zrobić na złość. Pobiegł do Mielnika i widział się tam z Gałeckim pełnomocnikiem Ossolińskiego. Bez długich zachodów oświadczył mu, że Matuszewicz namyślił się już i gotów byłby starać się o chorążankę, ale mu pomódz tutaj potrzeba i ośmielić do stanowczego kroku, bo Zabiełłowie ciągną go do Piotrowiczówny. Łatwy bardzo na to wszystko sposób. Chorąży zna się ze starostą stokliskim ojcem stolnika, jest mu nawet sąsiadem i przyjacielem od lat bardzo dawnych; może więc bez obrazy przyzwoitości i dumy posłać do niego po prostu ze swatami i z przestrogą, że stolnik jedzie starać się w kowieńskie o Piotrowiczównę. Zdaje się, że cała ta wyprawa po żonę była tajemnicą przed ojcem, stolnik bał się najwięcéj matki, która głos wysoko w domu podnosząc, chciała trząsać wszystkiém, dokuczała mężowi i córkom szkodziła, że za mąż nie wychodziły. Gałecki pobiegł natychmiast do wsi Toporowa pod Łosicami, w któréj zwykle przemieszkiwał Ossoliński i złożył mu dokładną sprawę o wszystkiém. Chorąży tak się uradował nowinom tym, które mu przyniósł pełnomocnik, że natychmiast jego samego wyprawił do Rasny z obietnicą, że wyliczy za córką zaraz posagu 50,000 złp. i że ciągle świadczyć jéj będzie gdyby za mąż poszła. Stary Matuszewicz dowiedziawszy się wtenczas dopiero o projektach małżeńskich, niezmiernie się ucieszył, bo życzył tego sobie, ażeby synowie świetne pozawierali związki.

Tymczasem stolnik brzeski o niczém nie wiedząc, spokojny powraca sobie z Czemer do Rasny, żeby pożegnać ojca przed podróżą, a starosta bierze go na bok i oświadcza po prostu, że życzy sobie widzieć syna żonatego z Ossolińską. Wszystkie dogodności naraz się tutaj zebrały; posag większy, aniżeli gdzieindziéj i bliskie sąsiedztwo, które pozwoli synowi z ojcem aż do śmierci utrzymać stosunki rodzinne i nareszcie krew znakomita, bo Ossolińska, to nie Piotrowiczówna, mówił ojciec stolnikowi, troszkę arystokrata jak każdy podówczas szlachcic polski, co wartość ludzi, mierzył podług krwi i stosunków rodzinnych.

— Widzisz, dowodził mu daléj, jestem już podeszły wiekiem, a tyś najstarszy syn mój; przed śmiercią uczyń mi tę pociechę, ażebym cię chociaż jednego z braci w losie

ustalonego widział i błogosławił. Piotrowiczówny ci nie życzę i mam nawet jakieś smutne przeczucie, że z tego nic nie będzie.



Zaręczyny odbyły się natychmiast.

I mówiąc to starzec zalewał się rzewnemi łzami.

Stolnik posłuchałby chętnie prośby ojca, za czémby niezawodnie poszło mu błogosławieństwo Boże, ale z pokorą opowiadał mu o całéj sprawie, jak stała; o sobie mówił, że ma teraz łaski wielkie u księcia kanclerza, które utraci, starając się o chorążankę, że Szelutta pewny prawie jest swego, że sam ojciec panny nie zechce narazić się na odmowę Wołczynowi i t. d. Pe-

wnie, że starosta chciałby widzieć los syna ustalonym, ale i to pewna, że nieżyczyłby sobie poróżnić go z księciem, tak wielkim ministrem.....

Przerwał synowi starosta tą uwagą:

— Książe nie może się gniewać za to na ciebie, że chorąży niechce wydać córki za Szeluttę, a woli ją wydać za ciebie, chociaż się o to nie starasz. A zresztą chociażby i za ciebie nie wydał, w każdym razie niedostanie Szelutta panny Ossolińskiéj.....

Takim dowodem przekonany stolnik, niechciał ojca urażać i prosił tylko o czas do namysłu. Ale zaraz tego samego jeszcze wieczoru przyjechał drugi raz Gałecki do starosty stokliskiego, nietylko z powtórzeniem oświadczyn, ale i z nowym wnioskiem, żeby w ciągu dni kilku zjechał się stolnik z chorążym liwskim na neutralném zupełnie miejscu w Węgrowie i rozmówili się szczerze a stanowczo. Tego właśnie staroście stokliskiemu potrzeba było. Rozczulił się jak nigdy w życiu, ucałował syna i kazał mu natychmiast jechać do Węgrowa. Żeby zaś nie było żadnéj wymówki, poszedł do komory, wyjął sto dukatów i sto tynfów jeszcze w dodatku, rozłożył to przed stolnikiem, kazał mu zgarnąć pieniądze do mieszka i wołał, wołał ciągle:

— Jedź, a jedź.

Już po tym jednym wypadku, po téj niezwyczajnéj hojności mógł sądzić stolnik, że postanowienie ojcowskie było niezmienne, nieprzełamane. Starosta był całe życie swoje arcyoszczędnym człowiekiem. Dorobił się majątku znacznego będąc z urodzenia chudym pachołkiem, jedynie oszczędnością i zapobiegliwością swoją. Dla dzieci był w ogóle skąpy, ale zato Bogu kościoły stawiał. Otóż i teraz stolnik patrzał na zapał ojca z podziwieniem; tego jeszcze nigdy nie bywało. Synowie o własnych siłach musieli się posuwać na świecie, a tutaj, nagle, taki niezmierny skarb, taka hojność!

Stolnik myślał co ma robić? Czy jechać prosto do Węgrowa, czy księciu wprzódy donieść o wszystkiém? W każdym razie, Piotrowiczówna i Zabiełłowie poszli z głowy. Ale jechać do Wołczyna tak od razu i wydać się, co za skutek z tego być może? Książe rozgniewa się, a jak nie pozwoli jechać? śmiertelna będzie boleść i żal dla ojca. Stolnik myślał, że lepiéj będzie chyba jechać bez opowiedzenia się w Wołczynie. Liczył tutaj na zmienny humor Ossolińskiego. Nic nie szkodzi przecie, że się z nim rozmówi, a może się też niezgodzą, a może sam chorąży jaką trudność schowa na ostatek. Nareszcie, gdyby do stanowczych jakich układów przychodziło, będzie czas zawiesić, odwlec sprawę aż do uprzątnienia wszystkich trudności. Stolnik wyspowiadał się na tę intencję, bo był bardzo nabożny i trzeciego dnia ruszył z Rasny do Węgrowa.

Ledwie stanął na miejscu, aż w kilka godzin przyjechał po nim i Ossoliński. Stolnik poszedł zaraz do przyszłego teścia, który go bardzo mile przyjął i raz wraz wynurzał się z serdecznością. Wieczorem wcale nadspodziewanie przyjechała pani chorążyna z córką. Zaproszony do nich na wieczerzę, poszedł stolnik. Rodzice wina nie żałowali, panna nie była przeciwna, więc nie namyślając się długo, troszkę podchmielony, widząc równy affekt dla siebie wszystkich trojga i ojca i matki i córki, stolnik oświadczył się o chorążankę, był przyjęty i zaręczyny odbyły się natychmiast. Ojcowie nasi tak często przy kielichu nie potrzeźwemu odbywali najważniejsze obrzędy, które stanowiły nieraz o spokojności całych rodzin. Ale było to w dobie upadku Rzeczypospolitéj.

Nazajutrz ledwie opamiętawszy się z tego co zrobił, szedł stolnik do państwa Ossolińskich, żeby skończyć budowę, do któréj poprzednio tylko wspólnie główne podwaliny położyli. Zaczęła się wtedy pokazywać odwrotna strona medalu. Widać z łatwości, z jaką przystał na projekt przyszły zięć, osądził chorąży, że z nim wszystko zrobi, a może też uwiódł się skąpstwem, dosyć, że kiedy przyszło mówić o posagu, aż tu owe przyobiecane zrazu 50,000 opadły na 30, za pół godziny była wzmianka tylko o 25ciu, a za drugie pół godziny już Ossoliński obiecywał stolnikowi, że mu puści w posagu wieś Pobikrów. Zmieszał się Matuszewicz, i wtedy to na oczach mu stanął rozgniewany książe kanclerz. Gdyby mu nie żal było panny, która Bogu duszę winna, mogła jednak stracić na opinji, skutkiem tych niegodziwych wybiegów ojca, byłby się stolnik może odrazu wycofał z takich

nieprzyjemnych stosunków, ale poświęcił się tymczasem dla niéj, sądząc, że przez przyjaciół będzie mógł umówić się z ojcem ostatecznie o cały posag, to jest zawsze o 50,000 złp. Nadrobił więc fantazją i daléj zalecał się pannie.

Z Węgrowa wszyscy czworo razem wyjechali, pokazało się, że państwo Ossolińscy przejazdem tylko bawili się w tém miasteczku i że ich podróż dopiero się zaczynała od Węgrowa. Jechali ku Warszawie. Pani chorążyna z córką wybrała się do ojca swego kasztelana liwskiego do Niwisk, pan chorąży zaś wybierał się aż do saméj Warszawy; więc było to powodem i stolnikowi, że postanowił im kawał drogi towarzyszyć, a sam potém korzystając z okoliczności wybiedz miał do Częstochowy, gdyż jeszcze przed czterema laty ciężko chorując w Wilnie zrobił ślub, że cudowną na Jasnéj Górze Bogarodzicę nawiedzi. W drodze i w saméj Warszawie miał sposobność uważać stolnik jaki to humor pana chorążego odmienny. Trapiło go to nie pomału, a najwięcéj zawsze bał się gniewu księcia kanclerza.

Chorąży liwski niedowierzał sobie, czy nie błądził czasem i czy za daleko nie posunął się czasem z Matuszewiczem; małżeństwo córki ze stolnikiem mogło nie być godne Ossolińskich. Ztąd w Warszawie poradził mu, żeby wstąpił do chorążego nadwornego koronnego, pana Józefa Ossolińskiego, największéj podówczas znakomitości w rodzinie; był to syn podskarbiego, onego przyjaciela króla Stanisława, książe francuzki; ojciec został się w Lotaryngji, syn siedział w Polsce, a jakby umyślnie podówczas znajdował się w Warszawie. Znakomitość, pan wielki, przyjął dobrze Matuszewicza, a ta okoliczność wpłynęła wiele na coraz serdeczniejszy ku niemu affekt pana chorążego. Stolnik litwin odwiedził także w Warszawie Karasia cześnika buskiego, który był marszałkiem dworu pierwszego senatora Rzeczypospolitéj, to jest kasztelana krakowskiego szwagra Czartoryskich, pana Stanisława Poniatowskiego. Karaś był dobrym jego znajomym, przyjacielem, a znał dobrze animusze Familji, mógł nawet wiele poradzić. Zawsze mu stał na myśli jako grzech pierworodny, ów gniew księcia kanclerza. Wszedł Karaś w jego położenie i poradził, żeby przyznał się do wszystkiego póki czas jeszcze, za nim ktoś usłużny uprzedzi i złośliwie go oskarży przed księciem. Posłuchał stolnik przyjaciela i napisał aż dwa listy, jeden do samego księcia, drugi do pana pułkownika Sosnowskiego, z którym miał wielkie zachowanie kiedyś, bo nawet go swatał z rodzoną swoją siostrą. Sosnowski zaś był prawém oczkiem u kanclerza. Księciu w krótkich słowach, ale pułkownikowi szeroko opisał Matuszewicz całą sprawę; przyznał się jako nigdy o tém w życiu nie myślał, żeby włazić w drogę kiedykolwiek Szelucie, że winien wszystkiemu Gorecki, który nakłamał tych intryg, że Goreckiemu nie chodziło o dobro Ossolińskiéj lub Matuszewiczowskiéj rodziny, ale o wylanie złości swojéj na Szeluttę. Przydał, że mógł się z tém wszystkiém utaić, ale chce przed księciem wyjść na czysto i przekonać go, że tutaj nic nie winien. Listy te wyprawił zaraz pocztą na ręce brata swojego rodzonego Józefa, który właśnie co podówczas będąc na sejmiku gromnicznym w Brześciu, niedopuścił Towiańskiego do deputacji i tak się zemścił za to, że Towiański zerwał niegdyś sejmik podkomorski dla stolnika. Niedosyć na tém, Józef Matuszewicz utrzymał dwóch drugich deputatów w Brześciu i tém pokazał księciu kanclerzowi, że będzie mógł godnie kiedyś zastąpić stolnika w robotach sejmikowych.

Nie wiedząc jeszcze o niczém, nim listy od brata z Warszawy odebrał, pojechał Józef Matuszewicz do Wołczyna wtenczas, kiedy jednocześnie Szelutta wybiegł do Toporowa, żeby przywitać państwo Ossolińskich z podróży. Obydwom się nie udało. Szelutta dowiedział się w Toporowie o zaręczynach stolnika z panną i powrócił jak oparzony z wielkim żalem, do księcia, skarżąc się, kłamiąc i płacząc. Rozgniewał się niezmiernie kanclerz, jako pan bardzo mściwy a zły, że mu ktoś zachodzi w drogę. Kiedy tymczasem Józef Matuszewicz wszedł do niego na pokoje, wpadł nagle w taką cholerę, że wyszedł z siebie. Wrzeszczał, łajał i przeklinał stolnika, żadnych tłumaczeń, żadnych objaśnień nie przyjmując. Poszedł zaraz z komnat książęcych prosto odgłos po Litwie, że Matuszewicz posłany

w sprawie Szelutty do Ossolińskiego, zdradził zaufanie i że dla siebie przerobił wszystko. Niedosyć, że na tém wszystkiém cierpiała dobra sława stolnika, ale i kredyt jego wielce upadał. Mówiono, że wypadł z łaski księcia, że z tak wielkich wpływów jego w Wołczynie nic się na raz nie zostało. Biedny stolnik! Zasługiwał się jak mógł każdemu, a tymczasem nikt go nie żałował, nikt nie bronił. Tak straszny był gniew księcia kanclerza, tak szlachta bała się panu narazić. Józef Matuszewicz zmartwiony srodze, wyjechał z Wołczyna do Rasny przed ojcem się skarżąc na brata.

Tymczasem stolnik z Warszawy przez Piotrków jechał do Częstochowy. W Piotrkowie bawił się niedługo, dla ciekawości tylko odwiedził sądy trybunalskie, poczém zostawiwszy w mieście konie, na noc najętemi saniami wyjechał do Częstochowy. Po drodze wstąpił i do Gidel, gdzie także był obraz cudowny, słynny od czasów Jana III. Piękna to była wioska, święta bo aż trzy miała kościoły; naprzód niewielki parafjalny modrzewiowy, pochodzący jeszcze z czasów Bolesława Śmiałego, co napis świadczył nad wejściem, daléj dwa inne wspaniałe a większe, Dominikanów i Kartuzów. W pierwszym kościele był ów obraz cudowny, którego nikt nie pomijał z pobożnych pątników do Częstochowy, drugi był osobliwością na ziemi polskiéj, bo kartuzji kilka ledwo się wznosiło, trzy tylko podobno na całéj przestrzeni Rzeczypospolitéj. Poszedł stolnik de kościoła Dominikańskiego naprzód i Mszy św. tam wysłuchał, a stąd udał się do Kartuzów, gdzie znalazł dawnego znajomego i prawie przyjaciela księdza Cydzika, wprzódy prokuratora ekonomicznego w Kartuzie Berezkiéj na Litwie, za przeorstwa ks. Goreckiego. Sapieha wojewoda smoleński zły, że mu, chociaż potomkowi założycieli, ks. przeor niechciał pożyczyć pieniędzy, póty u jenerała zakonu nastawał, że Goreckiego przepędzono aż do Francji, a Cydzika do Gidel. Biedny stolnik zwierzył się Cydzikowi ze swoich kłopotów, bo wiedział o nim, że znał dobrze Litwę i zawziętość księcia kanclerza; niczyja rada nie była tak wtedy na rękę sfrasowanemu stolnikowi, jak Cydzika. Zląkł się bardzo ksiądz za Matuszewicza, kiedy wysłuchał i przepowiedział mu straszną zemstę księcia kanclerza, czém do reszty zbił z tropu i tak już srodze upokorzonego kawalera.

Póżno w noc stanął nasz podróżny w Częstochowie. Rano zaraz pobiegł do kościoła na Jasnéj Górze, padł na kolana i krzyżem leżał przez kilka Mszy, które po sobie jedna po drugiéj wychodziły. Potém się spowiadał i przystępował do kommunji świętéj. Cały nabożeństwu oddany nie miał nawet czasu oglądać skarbca, bo przyjechał prywatnie poradzić się tylko natchnienia świętego i Opiekunki swéj Bogarodzicy. Po nabożeństwie i po obiedzie zakupiwszy moc obrazków, na całą noc z powrotem ruszył do Piotrkowa. Ten sam pośpiech pokazywał, że stolnik postanowił skończyć raz z Ossolińskiemi. Jednakże przyjechać mil drogi przeszło sześćdziesiąt własnemi końmi, bo jedynie dla celów pobożnych i zabawić tylko jednę czy kilka godzin w Częstochowie, to coś znaczyło. Ale nie mógł zwłóczyć stolnik, dla niego każda godzina była rokiem, musiał się ratować od jakichciś usłużnych dworaków, którzy księcia kanclerza tymczasem źle dla niego mogli uprzedzić. Z Piotrkowa zboczył prosto na północ i ominąwszy Warszawę pojechał do Goślic do matki, która z ojcem nie żyjąc w świętéj zgodzie małżeńskiéj, zwykle przesiadywała w dobrach swoich w płockiém na Mazowszu, ciągle zła i gniewna na wszystko co ją otaczało. Zacny stolnik staropolskich zasad jeździł do matki kłaniać się jéj i prosić o błogosławieństwo na przyszłość.

Od matki jechał na Warszawę. Z Zakroczymia błądził po polach śniegiem zasutych, zima była zła i ledwie się przez Narew przeprawić było można, kolaskę przeciągali mu ludzie po rzece, a konie przechodziły po jednemu. Wisła tak samo zła była, dziur w niéj pełno na powłoce lodowéj, a jednak z Pragi z przewodnikiem pieszo przebierał się nasz stolnik do stolicy. Stanąwszy już w mieście dowiedział się, że Józef przyjechał z województwa Brzeskiego i dla spraw swego półku i dla tego, żeby pocieszyć cokolwiek brata. Stolnik zaraz poszedł do niego w nocy przez Wisłę, która tymczasem lepiéj zamarzła. Nie było po co się spieszyć, same złe Józef przywoził nowiny.

Książe kanclerz był zły naprawdę; dowiedziawszy się o tém ojciec, pisał list do księcia i całą winę za postępowanie syna kładł na siebie, wszystko co stolnik robił z chorążym liwskim, robił jedynie dla posłuszeństwa i życzeń ojca. Józef dodał, że niewiadomo, co na to rzekł książe, ale mała nadzieja, bo, Józef dodał, że listy które z Warszawy stolnik pisał z uniewinnieniem się do księcia i Sosnowskiego tyle znaczyły co nic, owszem Sosnowski nikczemnie jeszcze księcia podszczuwał przeciw Matuszewiczom, jako swoim nieprzyjaciołom. Nareszcie jeszcze ostatni przysmaczek. Chorąży liwski uląkł się także gniewu książęcego i na św. Eleonorę, to jest imieniny księżny kanclerzyny przysławszy do Wołczyna z powinszowaniem Siennickiego dworzanina królewskiego, a brata stryjecznego swojéj żony, oświadczał się z dawnemi uczuciami dla księcia, a winę za wszystko co się stało, także zwalał na stolnika.

Matuszewiczowie dwaj naradziwszy się z sobą, postanowili odwiedzić krewnych księcia kanclerza, którzy byli podówczas w Warszawie i prosić ich o wsparcie, o instancję. Pojechali tedy naprzód do księcia wojewody ruskiego brata kanclerskiego. Tutaj wstąpiła im w serce jakaś otucha, wojewoda śmiał się z téj całéj przygody i mówił stolnikowi, że trzeba było zaraz ślub brać z panną Ossolińską, a byłby odrazu skończył swoje kłopoty; zresztą zapewniał, że książe kanclerz gniewać się o to nie może. Bracia od wojewody udali się do kasztelana krakowskiego. Ale tutaj poszło im wcale inaczéj. Spanoszony chudy pachołek dbał więcéj jak książe starego rodu o dumę Familji; rozgniewany, że jakiś tam szlachcic śmiał w drogę włazić księciu kanclerzowi, z gniewem powstał na Matuszewiczów i wszelkiego wstawiennictwa odmówił. I stosunki z Karasiem nic nie pomogły stolnikowi.

W kilka dni, zanim jeszcze Wisła puściła, dwaj bracia wyjechali razem z Warszawy, prosto do Pobikrów; w téj wsi spodziewali się znaleźć Ossolińskiego. Zastali oboje chorążostwo, ale ojciec cokolwiek się zmieszał zobaczywszy stolnika; potém sam nie wiedział jak sobie poradzić, bo i zięcia niechciał się pozbawić i obawiał się zemsty księcia kanclerza. Małą pociechę miał i od córki nasz stolnik; zbuntowana przez ojca, raz tak, drugi raz inaczéj odpowiadała na grzeczności narzeczonego. Trzeciego dnia dopiero Matuszewiczowie wyjechali z Pobikrów bardzo niekontenci z tego co widzieli. W drodze dogonił ich człowiek od chorążego z liścikiem i oświadczył, że pan jego ma zawsze jednakowy affekt do stolnika; umizg wynagrodził kwaśne przyjęcie Matuszewiczom w Pobikrach. Nocowali tego dnia bracia o 5 mil w Rohaczach. Tu przybiegł drugi posłaniec od chorążego, ale już z innemi instrukcjami; pisał pan, żeby liścik poprzednio pisany stolnik odesłał. Zrobił Matuszewicz co chcieli, ale zadziwienie jego było oczywiście wielkie; nie pominął jednak szczęśliwéj okoliczności i napisał jednocześnie list do chorążanki, w którym polecał się jéj pamięci i sercu. Stolnik widocznie się kochał w pannie Ossolińskiéj, postanowił jednak się trzymać nieco w odwodzie, żeby się tak bardzo nienarzucać. Stąd kiedy następowały zapusty nie pojechał do Pobikrów; dopiero przeczekawszy kilka tygodni, wybierał się na imieniny do chorążego, na św. Józef.

Zawód i tutaj go spotkał. W Pobikrach znalazł tylko matkę i córkę, sam chorąży ze skąpstwa uciekł przed gośćmi do Toporowa o pięć mil ku Łosicom. Oczywiście przywiązany zięć przyszły musiał, przynajmniéj chciał tam szukać swojego teścia i pojechał do Toporowa. Chorąży był tak kontent z tych odwiedzin, że posłał zaraz po Wyczołkowskiego vice-rejenta grodzkiego i naradziwszy się z nim i z Matuszewiczem, układali we trzech intercyzę. Dzień wesela oznaczony był na 25 maja w Toporowie. Posagu chorąży dawał tylko 25,000, a za to miał stolnik zapisać swojéj przyszłéj 15,000 prostym długiem i dożywocie na Rohaczach. Wszystko to przyjął narzeczony dla tego tylko, ażeby raz skończyć, bo zresztą przewidywał, że około posagu będą jeszcze jakieś trudności. Z Toporowa powrócił zaraz do Pobikrów, żeby kobietom donieść o skończonych układach, zabawił u nich dni kilka i potém pośpieszył do ojca, do Rasny, skąd posłał pannie 30 dukatów w podarunku, gdy wiedział że jéj tego nie dadzą rodzice, a niejedno

wypadnie, żeby sobie kupiła, jakiś drobiażdżek do wyprawy.

Sam stolnik krzątał się mocno około przyszłego wesela, przed samą Wielką Nocą, na którą chciał świetnie wystąpić. Starosta stokliski ojciec dał mu na oporządzenie się przez pośrednictwo córki swojéj Wankowiczowéj, z którą Sosnowski miał się żenić, 500 dukatów. Stolnik kupił u brata Józefa cug najpiękniejszych koni, sprawił barwę piękną służbie i na Wielkanoc pojechał do Pobikrów. Zastał cały dom Ossolińskich w miejscu; wszyscy go mile przyjęli i ojciec i matka i córka. Z Pobikrów pojechali wszyscy razem do Sterdyni, w któréj mieszkał kasztelan gostyński, rodzony brat podskarbiego koronnego Jan Stanisław Ossoliński żonaty z Załuską wojewodzianką rawską. I podskarbi i kasztelan byli stryjeczno rodzonemi braćmi Stefana, ojca chorążego liwskiego, stosunki więc rodzinne bardzo blizkie łączyły dwór Toporowski ze sterdyńskim. Kasztelan przyjął gości swoich bardzo serdecznie.

Po odwiedzinach wracali wszystko czworo razem do Pobikrów. Humor zaczął się zmieniać w chorążym po raz setny, oziębłość zastąpiła miejsce serdeczności, stąd zrażał się coraz więcéj Matuszewicz do swojéj bogdanki; jakie to myślał sobie będzie życie wśród takiéj męczarni? Pojechał do Rasny, a kiedy go się ojciec pytał o to jak sprawy stoją i ojcu i wszystkim odpowiadał:

— Tak serce straciłem do téj partji, że wolałbym na śmierć iść, niż na to ożenienie.

Pomimo takiego usposobienia, kiedy czas rychło upłynął, wybrał się stolnik przed dniem 25 maja wraz z bratem swoim Józefem do Toporowa na wesele. Spostrzegli obadwaj nowe humory. Chorąży namyślił się lepiéj i chciał jeszcze odwlec wesele, szukał do tego pozoru, a Matuszewiczowie dorozumiewali się, że może w jego widoki wchodziło i zerwanie układów. Stolnik człowiek bystry pojął natychmiast swoje położenie, a widząc, że końca i tak z tém nigdy nie będzie, wziął się na dyplomację. Udawał, że niczego się nie domyśla, niby to zafrasował się bardzo z téj zwłoki, bo chcąc trafić z Ossolińskim, potrzeba było udawać sprzeczny mu humor; miał pan chorąży to zgryźliwe usposobienie, że lubił wszystko robić ludziom na przekorę. Gdyby stolnik pokazał, że go już te zabiegi nadaremne o pannę nudzą, gdyby czémkolwiek pokazał najmniejszą chętkę zerwania, w jedną chwilę chorążyby zwinął chorągiewkę i ślub przyspieszył. Niechciał tego stolnik, bo w jego sercu sprawa małżeństwa z chorążanką była już stanowczo zgubiona. Udało się mu to doskonale, im więcéj prosił o spełnienie intercyzy, tém więcéj ojciec się upierał i trudnił. Dwaj bracia więc pożegnali się z chorążym i poszli na spoczynek, który jednak snem ich nie pokrzepił, bo prawie przeczuwali noc całą krótką, gdyż to działo się w Maju, przy dniach długich. Nazajutrz skoro świt wstali, ubrali się cichutko, i wyjechali z Toporowa wprzódy, zanim się jeszcze chorąży ocknął.

— Dawno już, mówił stolnik do brata, nie miałem tak wielkiéj radości, jak dzisiaj, kiedym się wyrwał od tego nieznośnego człowieka.

I serce i godność stolnika na takich historjach cierpiały.

Chorąży kiedy wstał a posłyszał o ucieczce narzeczonego, z początku chciał wysłać za nim pogoń, żeby wrócił, ale dowiedziawszy się że dawno już wyjechał, że na nic się nie zda już gonić, dał pokój, nie dopuszczając jednak téj myśli, żeby się to już wszystko skończyło.

Stolnik brzeski szukał wszędzie rozweselenia się i zajęcia, żeby rozerwać myśl smutną. Pojechał do Czemer młyny budował, urządzał gospodarstwo; pojechał do Peliszcz do wsi zastawnéj brata Józefa, gdzie godzili się Suzinowie. Potém miał zajście z Przezdzieckim referendarzem litewskim, który chciał od niego wykupić zastawne prawo na Czemery, za zgodą księcia chorążego Radziwiłła z Biały. Rozrywał się, jak mógł, a tęsknił.

Tymczasem i kanclerz się uspokoił. Spojrzał zimno na to co widział i przekonał się, że jedynie w Ossolińskim wina tylu zawodów. Przestał się więc gniewać na stolnika, który znowu kontent był, że tak się wszystko stało, a nie inaczéj. Przestał już nawet księcia przepraszać, bo pomiarkował się, że to zbyt ekspensowna służba starać się o jego względy, za które nie miał zresztą żadnéj nagrody. Nie bywał więc

w Wołczynie, choć czasami tam zaglądał Józef Matuszewicz. Ale zdarzyło się raz tak, że Józef zjechał się w Wołczynie z podkanclerzym Sapiehą zięciem księcia kanclerza. Zobaczywszy go u siebie na pokojach, Czartoryski pierwszy przerwał milczenie.

— Pan podkanclerzy wstawia się do mnie za stolnikiem brzeskim, mówił do Józefa, ani się na niego gniewałem, ani gniewam, niechże tu jutro pan stolnik przyjedzie.

Uradowany Józef naturalnie zaraz widział się z bratem, nazajutrz obadwaj do Wołczyna pojechali. Widzieli się z Sapiehą, który ich zapewnił, że książe nie gniewa się, ale wymówił sobie wieczne milczenie o sprawie z panną Ossolińską; przestrzegł więc ich, żeby nawet wzmianki o tém nie zrobili. Poszli zaraz wszyscy trzéj jak byli do księcia do kancellarji; kanclerz wynurzał się z wielkiemi grzecznościami, poufały był z Matuszewiczami jak wprzódy, ze stolnikiem wiele rozmawiał, a w końcu prosił go nawet, ażeby jako assesor jechał z Sapiehą do Grodna sądzić sprawy, gdy właśnie termin otwarcia sądów asesorskich się zbliżał. Nie miał stolnik ochoty; bezpłatne siedzenie w Grodnie pociągało za sobą wielkie koszta, choćby samego utrzymania się, a tymczasem nie miał kto dojrzeć gospodarstwa, dla świętéj zgody wszelako, przystał na żądanie kanclerskie.

Cały ten dzień przebył stolnik w Wołczynie i rozważał wypadki ostatnich pięciu miesięcy. Był w niełasce u księcia przez jakieś dziwne zrządzenie losu, ale nie przez własną winę. Żal mu było panny Ossolińskiéj, bo przeczuwał, jak z takim ojcem musi być nieszczęśliwą, niewinna ta oczywiście ofiara uporu i dziwactwa. Serce się do chorążanki wracało, a żal do księcia nieustawał, że dla pozoru, dla dumy swojéj jedynie, karmił go takiém zmartwieniem.

Sądził przykładnie sprawy z Sapiehą w Grodnie, potém wyciągnięto go na kommissją Wohyńską, na któréj sądziła się sprawa o naturę dóbr ekonomji brzeskiéj, czy były królewskie, czy były ziemskie? Wzbraniał się stolnik jechać do Wohynia, lubo mu robiono wielkie obietnice, ale kiedy Sapieha pozwolił, pewny już był, że nienarazi się tém księciu kanclerzowi. W tém pokazał się w Grodnie Zabiełło dla spraw w assesorji.

Myśl o chorążance nie ciągle ale się jeszcze uwijała po głowie stolnikowi, kiedy ten Zabiełło który tymczasem został jego sąsiadem w Czemerach, znowu zaczął przebąkiwać o Piotrowiczównie. Zrażony niedawném oświadczeniem, stolnik zrazu odmówił, bo nie mógł tak z serca wyrzucić swego dawnego przywiązania, ale mimo to Zabiełło podwajał usiłowań. Miał nazajutrz stolnik do Wohynia odjeżdżać więc dla przyjaźni nocował razem z Zabiełłą.

Rano posłał konie i kolaskę żeby się przeprawiły przez Niemen, a sam szedł pieszo do czółna: odprowadzając go Zabiełło ubolewał ciągle, że stolnik niechce się nakłonić do Piotrowiczówny. Ale zacisnął czapkę na uszy i szybko jechał Matuszewicz do Wohynia; było to we Wrześniu. Po drodze wstąpił do księdza proboszcza w Szereszowie; był nim Siennicki blizki krewny chorążyny liwskiéj. Jakoś tak serce ani na chwilkę odtęsknić się niechciało i nie mogło od miłości; nie było panny, więc lgnęło do wszystkich, co ją obchodzili, co z nią byli w stosunkach. Proboszcz pocieszał stolnika, namawiał go, żeby na nic nie zważał i wracał do panny; rada była dobra, bo narzeczony nie był od tego, ale jak tu sprawę pokierować, żeby to było z godnością i powagą? W Wohyniu kommisarzy jeszcze wszystkich nie zastał, więc kommissją limitowano do trzech tygodni. Ale po nocach jeżdżąc zaziębił się, dostał wielkiéj gorączki i kaszlu, a serce wciąż niespokojne było.

W przeciągu tego czasu zaszedł wypadek, który naszego stolnika znowu zbliżył do Ossolińskich. Pan chorąży liwski miał starszego brata Antoniego, naprzód półkownika artyllerji koronnéj, a potém chorążego mielnickiego. Dawno już umarł ten brat, ale zostawił po sobie wdowę Kossowską z domu, sędziankę grodzką drohicką i syna małoletniego; wdowa poszła za mąż powtórnie za Grabowskiego sędziego ziemskiego w Brzeskiém. Sąsiadka to była Rasny, bo mieszkała tylko o ćwierć mili od niéj w Wykanowie. Zachorowała właśnie, a przewidując śmierć prosiła stolnika, ażeby

ją nawiedził dla tego, że chciała przy nim napisać testament. Rzeczywiście spisała go przy stolniku według wszelkich form prawnych, darowała kilkanaście tysięcy i wielkie legaty drugiemu mężowi, resztę miał wziąść syn jako jedyny spadkobierca. To były główne rozporządzenia testamentu, lubo były w nim i drobiazgi. Prowadziła np. uparty proces ze starostą stokliskim o rozkopanie grobli wykanowskiéj, przepraszała za to starostę i sam proces umorzyła. Stolnik spisał jéj cały testament jak należy, ale umierająca oddała oryginał jemu samemu za ręce rodziny, któréj nieufała z obawy, ażeby chorąży liwski, stryj rodzony i naturalny opiekun młodego chłopca niezapobiegł czasem wykonaniu jéj woli. Nie długo potém kiedy umarła pani Grabowska, Matuszewiczowie posłali chorążemu liwskiemu kopję testamentu. Stąd zawiązało się żwawe listowanie pomiędzy niemi a panem chorążym. Najniewinniéj skompromitował się stolnik przed ojcem swojéj bogdanki.

Synaczek pani Grabowskiéj bardzo rozpieszczony, prawie i nie był w szkołach, a miał dopiero co lat piętnaście przy śmierci matki. Stryj zaczął mu teraz pochlebiać, dla czego? sam nie wiedział podobno. Pokazał mu np. statut Aleksandra Jagielończyka, że piętnastoletni chłopcy mogą być uznani za pełnoletnich. Ale nie zyskał nic na tém i owszém szkodę samochcąc sobie wyrządził, bo zdurzony chorążyc słuchać go wcale nic nie chciał, na złość wszystko stryjowi robił, sprzedawał i kupował podług swojéj woli. Córkę ostro trzymał Ossoliński, ale synowcem rządzić nie umiał. Doszło późniéj do prawnych sporów z Grabowskim, stryj chciał zwalić testament, który za bardzo był na stronę Grabowskiego. Obadwaj z sędzią pisali się na kompromis, na który superarbitrem obrany książe kanclerz. Zjazd tedy był w Wołczynie i stolnik ujrzał się tam oko w oko z zagniewanym srodze Ossolińskim, który i powstawał na testament i na jego wpływ u pani Grabowskiéj.

Jechał Matuszewicz na drugą kadencją do Wohynia przez Wołczyn. Książe był na niego nieco łaskawszy. Natrafił się tam ksiądz Glinka archidjakon brzeski, wziął na stronę stolnika i pytał się od Szelutty, czy jeszcze myśli o pannie Ossolińskiéj? Pokazało się, że chorąży liwski sam nie wiedział, którego zięcia ma sobie wybrać, bo razem i Szeluttę i stolnika popierał u córki. Szelutty nie wyrzekał się dla względów księcia, ale stolnika zdaje się wolał, utrzymywał z nim stosunki przez Borkowskiego viceregenta, który i od panny zawsze mu przywoził ukłony i pamięć. Pod sumieniem zaręczał stolnik Borkowskiego, że nie zmieni się wcale w swojém przywiązaniu, aby tylko chorąży nie stroił ciągłych figlów. Był zatém w dziwném zakłopotaniu Matuszewicz, kiedy go ksiądz Glinka zaczepił; odpowiedział dosyć obojętnie, bo nie domyślał się, że Szelutta ma także jakieś pewne nadzieje. Jednakże zastanowił się bardzo, kiedy drugi raz o toż samo zaczepił go w Wołczynie starosta piotrkowski, Paweł Mostowski, ten sam, który późniéj został wojewodą pomorskim. Co było do tych spraw staroście? Oczywiście mówił nauczony i proszony, mówił imieniem księcia kanclerza. Chciał, żeby stolnik zrzekł się ręki panny Ossolińskiéj i żeby nie przeszkadzał Szelucie. Przed Mostowskim wymowniejszy był stolnik; odpowiedział więc, że gdy ojciec go ciągnie, a córce przyrzekł stałość, zmienić słowa swojego nie może i cofać się nie myśli.

Po nowym roku napisawszy wyrok w sprawie wohyńskiéj, stolnik brzeski pojechał do Toporowa na trzy króle. Ojciec dziwaczył trochę, ale Matuszewicz tak mocno się przywiązał do panny, że postanowił bądź co bądź skończyć. Tylko że nigdy nie miał czasu, zawsze był zajęty i swojemi i cudzemi sprawami. Powrócił do Wohynia. Potém zajrzał do Suchéj-woli pożegnać państwo Kuczyńskich i kiedy od nich wracał, w podróży do Toporowa napotkał w Świeźnie o ćwierć mili od Suchéj-woli syna pani Grabowskiéj. Zobaczywszy go, Matuszewicz zrobił miejsce w swojéj kolasce i jechali razem. Młody Ossoliński czekał na stolnika; mówił, że matka go posyłała, ażeby odebrał testament. Pokazało się, że nie miał żadnego listu, i dla tego stolnik powziął naprzód podejrzenie. Kiedy poszło daléj na egzamen, stolnik dowiedział się wtedy dopiero o śmierci pani Grabowskiéj i o tém,

że całe to podejście, jakiego miał paść ofiarą, pochodziło ze strony pana Ossolińskiego, który chciał mieć koniecznie w ręku testament, ażeby go stracić. Synowiec pełnił tutaj brzydką rolę, którą mu stryj wskazał. Rozgniewał się tak mocno stolnik, że postanowił sobie znowu wykręcić się politycznie z małżeństwa. Posłał testament z Radzynia do grodu łukowskiego dla aktykacji, a jednocześnie dał znać, pannie, że mało ma nadziei względem pomyślnego końca sprawy, przyczém żalił się mocno na chorążego. List ten powiózł do Toporowa Wiernicki sługa stolnika. Niewiadomo dla czego naparł się Ossoliński, żeby Wiernicki u niego został. Pozwolił na to Matuszewicz.

Nastąpiła stanowcza narada w Rasny. Stolnik gorąco skarżył się przed ojcem na dotychczasowe swoje zawody i tak przedstawił rzecz całą w jasném świetle, że starosta stokliski powziął wstręt mocny do Ossolińskich i jak wprzódy doradzał, tak dzisiaj niepozwalał się żenić synowi z panną Ossolińską. Tym czasem chorąży liwski targował u synowca wieś Woźniki, która była w zastawie u Kuczyńskiego stolnika mielnickiego.

Jednakże staruszek, ojciec stolnika, więcéj tutaj się uwodził chwilowém wrażeniem, jak budował na stałości swego charakteru, skoro dla syna wyrzekał się związku z Ossolińskiemi. Namyśliwszy się, postanowił raz jeszcze ale ostatecznie probować szczęścia. Naradził się z przyjacielem swoim księdzem Urbanowskim gwardjanem Bernardynów w Brześciu i jego wyprawił w poselstwie do Toporowa. Ksiądz pytał się chorążego, czy wyda córkę za mąż za stolnika i czy da 25,000 złotych polskich posagu po ślubie? Ossoliński powiedział że wyda, ale że w posagu wypuścić tylko może dobra, które się będą zdały zięciowi do wyboru. Skutkiem takich nowin z Toporowa, nastąpiła jeszcze narada w Rasny, z której ksiądz Urbanowski jeździł znowu do Ossolińskich, ale już z podziękowaniem za przyjaźń od syna i ojca.

Ostatni akt téj komedji odegrał się w Wołczynie. Sądzono tam kompromis pomiędzy chorążym liwskim a Grabowskim sędzią ziemskim brzeskim. Pióro, rejent litewski był jednym z arbitrów. Patron Ossolińskiego wywodził, że Matuszewicz pisał testament dla Grabowskiéj stronnie; dowód w tém, że jest tam artykuł umarzający sprawy przeciw niemu i ojcu, staroście stokliskiemu. Nieprzestał patron na tém, ale szarpał jeszcze charakter stolnika; utrzymywał np. że są listy jego do Pióry, w których ujmując sobie sędziego malował w czarnych kolorach swoich przeciwników, a najwięcéj samego Ossolińskiego. Ale Pióro złożył list w sądzie i przekonano się wtedy jak daleko posuwał grube zmyślenia patron, ażeby tylko pójść górą. Ossoliński przegrał w sądzie i mocno się tego zawstydził.

Tak się rozstali chorąży liwski ze stolnikiem brzesk'm.

Możeby się jeszcze namyślali kilka razy i przeciągali dłużéj te niemiłe stosunki, gdyby nie wielkie nieszczęścia, które spadły na cały dom Matuszewiczów. Na schyłku zimy umarł im ojciec, starosta stokliski i nie czas było myśleć o weselu. Pogrzeb zwłok o rok się przeciągnął i z wielką uroczystością odbył się w Rasny, którą w swoim dziale wziął na własność pan Marcin. Ledwie smutne te chwile przebrzmiały, zaczęła nękać Matuszewiczów sprawa z księciem kanclerzem, który rozgniewawszy się na stolnika, że raz mu stanął w drodze na sejmikach brzeskich, jako był człowiek prędki a zapalczywy, przypomniał sobie wszystko, co miał już ze stolnikiem i chciał zgubić wszystkich z nim razem czterech braci. Usadził się na to, żeby ich w chłopów przemienić i dowodził im przez świadków nieszlachectwo. Sprawa ta zajmowała z kolei kilka po sobie następujących trybunałów litewskich i wielkich ludzi w Rzeczypospolitéj poruszyła. Wyszli z niéj wprawdzie zwycięzko Matuszewiczowie, bo wykazali nawet książęce swoje pochodzenie od jednego pnia z Giedrojciami, ale wyszli z połamaną przyłbicą i długo znać na nich było wrażenie z okropnego upadku. Kiedy stolnik brzeski zapomniawszy o pannie Ossolińskiéj starał się o rękę jakiéj innéj bogdanki, która mu w oko wpadła, zawsze mu prawie przypominano ową sprawę z księciem kanclerzem, a byli i tacy, co unikali go jako podejrzanego szlachcica.

Półtora roku tak zeszło. W przeciągu tego czasu ustalił się los naszego stolnika. Było to w czasie trybunału w Wilnie roku 1755. Przyjechał do stolicy litewskiéj marszałek kowieński Antoni Zabiełło z całym dworem z żoną i siostrą żony wdową po Ignacym Chełchowskim mieczniku kowieńskim: obiedwie były z domu Szczyttówny, kasztelanki mścisławskie. Znał tę panią przed laty dzieckiem jeszcze stolnik kiedy bawiła u Wizytek w Wilnie na pensji. Miała wtedy lat dziesięć, a już wszyscy mówili, że ładna bardzo z niéj wyrośnie panna. Od tego czasu upłynęło lat 16 i młoda wdowa 26cio-letnia była w całym blasku swojéj piękności. Była jeszcze panną kiedy Zabiełło swatał z nią Matuszewicza, ale Syruć kasztelan witebski zawsze stolnikowi przeciwny, wydał ją za Chełchowskiego. Teraz odnowiły się dawne stosunki i poszło już tak szczęśliwie, że w sam Nowy rok w Kownie odbyło się wesele, dosyć jednak smutnie, bo kasztelan witebski nie był na niém z matką, ani Prozorowie ich krewni, a pan młody zachorował jakby na umyślnie. Kolację wyprawili Zabiełłowie w Czerwonym-dworze, poczém państwo młodzi pojechali do rodziców do Jaswojń; mile byli przyjęci. Pan stolnik ciągle jeszcze chorował, zczerniał, dostał gorączki, aż się żona tego okropnie przelękła. Żył z nią jednak w świętéj zgodzie i miłości lat wiele. Pisywał do niéj gorące wiersze przed ślubem, a kochał serdecznie po ślubie.

Panna Ossolińska poszła za mąż za Wodzyńskiego podstolego liwskiego. Wielu było Wodzyńskich na urzędach ziemskich w Liwskiém i w Nurskiém, wielu się przemknęło i przez podstolstwo, a gdy niedoczytaliśmy się po aktach i listach jak było na imię mężowi panny Ossolińskiéj, nie wiemy za którego poszła. Czy żyła z swoim mężem tak dobrze jak żył Matuszewicz z żoną, trudno także powiedzieć.

Pan Franciszek Szelutta lepiéj jeszcze wyszedł jak Matuszewicz. Za poważną księcia kanclerza łaską i wstawieniem się Kazimierza Rudzińskiego wojewody mazowieckiego, znalazł żonę w zacnym domu Cieciszowskich. Ojciec panny, Dominik podczaszy liwski już nie żył wtenczas i zostawił żonę Marjannę z Suffczyńskich matronę staropolskich, świętych prawdziwie obyczajów, z małoletnią córką Antoniną. Tę samą pannę, któréj opiekunem i dziadem był wojewoda mazowiecki, otrzymał w zamężćie Szelutta już wtedy cześnik rzeczycki. Kontrakt przedślubny spisano w Uścińcu w ziemi Czerskiéj. Trzeciego dnia potém odbył się tamże ślub 30 listopada 1754 roku. Posagu wziął Szelutta 30,000 z dóbr ojczystych i macierzyńskich, wyprawę nietylko przystojną, ale bogatą w sukniach, srebrach, klejnotach, bieliźnie, kornetach i angażantach. Książe kanclerz zapisał Szelucie 50,000 złp. w grodzie warszawskim na kilka dni przed ślubem. Dożywocie sobie nawzajem państwo młodzi zapisali. Szelutta z 50,000 które miał u księcia, 20,000 prostym długiem na wszystkich dobrach i summach dla swojéj przyszłéj zeznał.

Nie to, że połączył się pan Szelutta ze starożytną i senatorską nawet rodziną, nie to, że po żonie wziął posag na swoje czasy znakomity, stanowiło jego domowe szczęście. Ale wziął żonę zasad najpoczciwszych. Przechowały się „rady matki” jakie w miesiąc prawie po ślubie pisała pani Cieciszowska dla jedynaczki (22 Grudnia 1754 w Ozorkowie). Wieje z tych rad woń patrjarchalnych czasów, kiedy po starych dworach naszych przechowywał się jeszcze w pełni obyczaj stary, sakramentalnie przechodzący z pokolenia do pokolenia. Zasady w radach podane, nie ze wszystkiém dzisiaj praktyczne, w swoim czasie utrzymywały Rzeczpospolitę wśród straszliwego bezrządu, który się rozwijał.

Nie mówiemy już o miłości ku Bogu, bo każdy się domyśli, że pani Szelucina wychowaną była w surowéj pobożności. Matka jéj kazała tylko powtarzać: „wolę umrzeć, aniżeli zgrzeszyć.” Męża kochać miała „jak nikogo bardziéj z ludzi, szanować go jak ojca, w niczém się nie sprzeciwiać mu, we wszystkiém się radzić. Nieroztropna żona zepsuje najlepszego męża, szczęśliwy ten mąż, który ma mądrą żonę“ to ciągle matka córce powtarzała przed ślubem. „Przywiązaném sercem zrobi to na mężu, że i matka jéj kochać go będzie i braciom jéj wszystkim dopomoże.“

Na pański respekt dbać, nigdy się nie wynosić, trzymać się pokory, to inne rady.

Mszy świętéj nieopuszczać, ćwiczyć się w umartwieniach, cnotę ukrywać przed ludźmi, a pokazywać ją tylko Bogu. Sławy cudzéj święcie przestrzegać, nikogo nie posądzać. Poufałości z mężczyznami się strzedz; powagą, statecznością zbudować sobie można pochwały ludzkie. Uraziwszy czémkolwiek męża, ma córka go przeprosić i spowiadać się tego, bo jedną myśl i jedno serce mieć oboje powinni. Wydatków niepotrzebnych trzeba się strzedz, owszem dobra oszczędność. Na sługi się nie spuszczać, wiedzieć wszystko o sobie i porządnie się trzymać. Niechaj wszyscy łaskawi będą dla niewinności i cnoty. Nie zazdrościć niczego nikomu, cieszyć się ze szczęścia bliźniego, potrzebnych i ubogich wspomagać o tyle, o ile to nie markotno mężowi, bo inna jałmużna niemiła Bogu. Mówić rozmyślnie, bo język początkiem wszystkiego złego. Obłudę wyrzucić z serca, bo Bóg na serce patrzy. Próżnéj chwały nie patrzeć, pochlebstwem pogardzać, prawdą żyć potrzeba, krzywdy się nie mścić. Gdyby mąż nie pozwolił czego, nie przeć się jego woli i nie pokazać, że to w czém martwi; „będzie w tém cnota i rozum.” Czasem mąż będzie złego humoru, czasem próbować zechce doskonałości żoninéj. Służbę trzymać z dobrocią serca w groźbie, obrazy Bożéj jéj nie przepuścić, w zapłacie nie ukrzywdzić nikogo. Co mąż zgromadza, tego żona trwonić nie powinna. O matce niezapominać, a po śmierci modlić się za jéj duszę. (Kontrakt ślubny, rady matki i rejestr wyprawy całkowicie drukowane w Tygodniku Illustrowanym, Nr 97).

Rozszerzyliśmy się nieco nad przedmiotem, aleź w tém cośmy powiedzieli, dowód, że święte życie musiał mieć Szelutta i że lepiéj wyszedł, jak gdyby się ożenił z panną Ossolińską. Drugi powód rozciągłości naszéj, ten, że Franciszek Szelutta i Antonina Cieciszowska byli rodzicami Ewy Szelucianki, matki największego z historyków naszych, Joachima Lelewela.

Dnia 5 Maja 1863.

Juljan Bartoszewicz.

U B I O R Y.

Paryż dnia 18 Lipca.

Wszystko co żyje wyruszyło lub wyrusza po za mury miasta, zdrowi i chorzy spieszą zaczerpnąć nieco świeżego powietrza i uwolnić się na czas jakiś od dusznéj atmosfery stolicy cywilizowanego świata. Jedni jadą do wód uzdrawiających, inni znów do kąpieli morskich, a inni wreście po prostu na wieś się wydalają. W ubiorach kobiet widoczną jest ta pora podróży; kupcy nowości starają się także z niéj korzystać, wystawiają przedmioty służyć mogące jedynie na spacerach lub polowaniach, jako to kapelusze w różnorodnych najdziwaczniejszych kształtach, buciki skórzane na wzór męzkich, długie rękawiczki z psiéj skóry chroniące ręce od słońca, a wreście jak gdyby chcąc przypomnieć przybory wędrówki, zdobią skórą nabijaną gwoździkami spódnice i wyrabiają skórzane kwiaty do kapeluszy. Z tego powodu ktoś odezwał się że kobiety w tych wszystkich dodatkach przypominają mu kufry podróżne. Rzeczywiście ozdoby ze skóry jakkolwiek delikatnie wyrobione, są więcéj oryginalne aniżeli ładne przy sukniach i kapeluszach. Kapelusznicy cesarzowéj, p. p. Lebel Striter i Liegaut, wymyślili kapelusze zwane *pocztyliońskie*, są to wprost męzkie kapelusze trochę zmniejszone, zdobne piórami, najładniejsze z nich popielate. Staniki pocztyljońskie których formę wam posłałam są również bardzo używane, osobliwie podczas spacerów wiejskich i polowań w których kobiety uczestniczą. Wracając jeszcze do kapeluszy muszę powiedzieć że wszystkie otwarte okrągłe kapelusze, noszą się jedynie w mieście jadąc powozem jako więcéj zwracające na siebie uwagę. Osoby idące pieszo, noszą zwyczajne kapelusze. Kolory najmodniejsze są zawsze czarny biały i *havanne* to jest tabaczkowy. Pończochy obecnie najmodniejsze są w tym kolorze co suknia, można je mieć jedwabne lub bawełniane, gdyż bawełna bardzo się dobrze farbuje na różne kolory. Widzieliśmy w jednéj wyprawie kilkanaście tuzinów pończoch, z których każden był w innym kolorze. Buciki ma się rozumieć stosują się również kolorem do sukni i do pończoch. Z materji jedwabnych w obecnéj porze najmodniejsze są fulary, niektóre z nich tak zwane indyjskie są prześliczne, na ciemném tle wiją się po nich zazwyczaj różnokolorowe kwiaty. Drugą, również modną

tkaniną jest także tak zwane płótno japońskie, *toile japonaise* zresztą używają innych dawniéj już znanych materji, nadmienić tylko wypada że w codziennym stroju owe przejrzyste muśliny i organtyny które tak łatwo było rozedrzeć jakoś się niepojawiają, a miejsce ich zastąpiły inne trwalsze tkaniny. Rękawy u cięższych sukien robią zupełnie wązkie co nawet nie jest dogodném w upały, u lżejszych bywają pół otwarte. Młode osoby noszą kanzotki, białe muślinowe, co dużo lżejszém czyni ich ubranie. Spódnice zaczynają znów garnirować trzema lub czterema falbankami. W podróży najdogodniejsze i najwięcéj używane są paltociki, w mieście zaś widać dużo mantylek z tego samego materjału co suknia. Nie dzisiejsza to już moda lecz bardzo praktyczna, zresztą cóż nowego pod słońcem? Z fasonów mantylek najmodniejszy jest *comail*, to jest rotonda czyli krótki burnusik. Robią je z tego samego materjału co suknie, od większego zaś stroju czarne koronkowe białą materją podszyte. Bywają także i duże burnusy z czarnéj wełnianéj koronki zwanéj Yak, są one bardzo ładne i strojne. W ubiorze panny młodéj o który nas zapytujecie nie zachodzi żadna zmiana, chyba że welon upięty bywa w ten sposób aby twarz zakrywał. Odrzuca się w tył głowy dopiero po ukończonéj ceremonji kościelnéj.

M. D.

Ponieważ chcemy pismem naszém zastąpić czytelniczkom francuzkie dzienniki mód, zamieszczamy przeto od czasu do czasu korrespondencję z Paryża poświęconą samym opisom ubiorów. W obecnéj chwili możemy zauważać z opisów cudzoziemskich tego rodzaju, że nawet w stolicy mody skromność w ubiorach ogólnie panuje. W Warszawie ani kroje ani kolory niezmieniły się od czasu naszéj ostatniéj pogadanki o ubiorach. Do magazynów téż nie wiele nowości przybyło, widzieliśmy tylko u pana Thonnes'a całe gotowe suknie w ten sposób zrobione że z małą zapewne odmianą przydać się mogą na każdą figurę. Składają się one ze spódnicy, żuawki i mantylki która służyć może zarówno za okrycie do wyjścia na ulicę. Widzieliśmy jednę taką suknię czarną bareżową, szeroka spódnica strojna była cała w rurkowe falbanki, toż samo i mantylka. Wszystko razem kosztowało złotych dwieście co zważywszy na robotę oraz ilość materjału wynosi bardzo niewiele. Kto wie czy nie więcéj nawet wydaćby trzeba kupując materjał i oddając go do roboty. W farbiarni pana Judlina przeniesionéj od pewnego czasu do domu Grodzickiego na Krakowskiém przedmieściu widziałyśmy zrudziałe czarne kamloty i inne wełniane materje bardzo dobrze farbowane na świeży czarny kolor. Jeżeli materja była bardzo zaplamiona i zużyta wtedy drukuje się w białe centki, kratki, kółka lub prążki co także zastósować się daje również dobrze do materji jedwabnych a osobliwie fularów. Materje jedwabne ufarbowane choćby najlepiéj, zawsze wiele tracą, drukowane zaś doskonale naśladują nowe zupełnie fulary tego rodzaju.

Objaśnienia tablicy robót.

Ner 1. Jeden róg czyli czwarta część kościelnéj chorągwi. Robi się ściegiem szydełkowym na materji jedwabnéj lub wełnianéj, kłosy i winne grono atłaskiem. Część przeznaczona do góry nie wycina się w zęby, tylko dodać na niéj trzeba kwiatek oznaczony kreskami.

„ 2. Figura całéj chorągwi. W pośrodku wszywa się obraz malowany olejno na płótnie.

„ 3. Ubranie na głowę zwane *neapolitańskiém*. Składa się całe z wstawek gipiurowych białych lub czarnych, zszytych razem i wygarnirowanych koroneczką.

„ 4 — 5. Przód i tył paska zwanego *à la Médicis*.

„ 6. Figura całego paska. Pasek ten robi się z materji czarnéj jedwabnéj, przód jest naszyty w kratkę aksamitką i zdobny u dołu kutasami.

„ 7 — 8. Kołnierzyk i mankiet płócienny haftowany czarnym jedwabiem.

„ 9 — 10. Torebka dziecinna i figura cała téjże torebki, haft atłaskowy pelą.

„ 11 aż do 25 cyfry.

„ 26 do 28 szlaczki.

„ 29. Wyłoga do rękawa umieszczonego na drugiéj stronie tablicy, strona zakończona spiczasto zachodzi na drugą.

„ 30. Przód stanika *pocztyljońskiego* czyli przedłużonego na biodrach. Stanik ten może być używany do sukni od konnéj jazdy. Od litery A nie zszyty jest do dołu.

„ 31. Plecy zakończone szpiczasto i również przedłużone za stan.

„ 32. Boczki do tychże pleców. Litera A również jak na formie przodu oznacza miejsca od których stanik ma być nie zszyty do dołu.

„ 33. Rękaw do stanika pocztyljońskiego. Wyłoga do dołu tego rękawa patrz Nro 29.

„ 34. Róg do poszewki.

„ 35 aż do 43 cyfry.

„ 44 aż do 51 szlaczki.

„ 52 — 53. Mankiet płócienny dziergany i połowa takiegoż kołnierzyka.

„ 54. Tarcza na róg chustki do nosa.


Moine Imp. r. St Louis en l'Ile 90. Paris

1058

KOŁKO DOMOWE

Sierpień 1863



KÓŁKO DOMOWE
Miesiąc Sierpień 1863 r.
No 2
No 24
No 13.
No 14.
No 15.
No 10.
No 12.



N.39
N.45
N.44
N.46
N.33
N.32
N.52
N.53
N.51
N.50
N.31
N.49
N.48
N.47
N.34
N.43
N.40
N.37
Emma
N.42
Elisa
N.36
N.38
N.39
N.41
N.35
N.30